

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 10 VIII. 1952 r.

Nr. 32 (366)

ALEKSANDER JUSZKIEWICZ

WCZORAJ I DZIŚ

O systemie burżuazyjnych praktyk wyborczych pisał Lenin, że jest to system „pochlebstwa, łgarstwa, oszustwa, zonglerki modnymi i popularnymi słówkami, obiecywaniem robotnikom na prawo i lewo wszelkich reform i wszelkich dobrodziejstw, byle się wyzrykali rewolucyjnej walki o obalenie władzy”.

O tym, jak cynicznie burżuazja stosowała ten system w okresie dwudziestolecia mówią takie fakty, jak ten, że chłopci z okolic Białej Podlaskiej, Radzyna i Włodawy rzekomo wybrali swoim posłem księcia Czetywertyńskiego. Chłopi spod Siedlec, Węgrowa i Sokołowa rzekomo posłali do Sejmu osławionego reakcjonistę, arcybiskupa Teodorowicza. Za posła formali spod Płocka podawał się przez Związek Ziemiaków. Prezes Lewiatana, Wierzbicki chepił się, że i on reprezentuje robotników warszawskich. Sanacja jeszcze bardziej udoskonaliła ten system, dzięki czemu 80 tys. chłopów ukraińskich — „wyborców” z Wołynia „reprezentowali” jako senator książę Janusz Radziwiłł.

Osukańcy system wyborczy spowodował, że w roku 1919, encja, reprezentująca oficjalnie interesy obszarników, przemysłowców, kamieniczników i kupców, zdobyła 140 mandatów. Chłopom i robotnikom kazano wtedy głosować na 5 różnych partii, przy tym w każdej z nich rozpięta się agenci burżuazji. Niewiele lat upłynęło, a większość tych panów zrzuciła maskę i przeszła do sanacji. Wtedy, w pierwszych latach niepodległości burżuazja musiała jeszcze maskować się. Starczyło jej kul i bagnatów, aby sterroryzować proletariata. Czerwonego Zagłębia i rozgromić chłopską Republikę Tarnobrzeską, ale dla opanowania sytuacji w całym kraju takich sił brakowało. Zastąpiło je kłamstwo o burżuazyjnej „demokracji”, wypełniające ordynacje z lat 1919 i 1921.

Ordynacja z roku 1921 nie przeszkodziła faszystowskiej dyktaturze wprowadzić do Sejmu w roku 1930 aż 249 posłów ze zniechęconego i otoczonego powszechną pogardą BBWR.

Niewiele lat było potrzeba dla zdemaskowania w oczach ludu lokalnej roli agentur burżuazji w legalnych stronnictwach. Krzepła rewolucyjna świadomość mas. W klasie robotniczej narastała decyzja szturmu na dyktaturę burżuazji. Pamiętamy, jak to Składowski skarżył się na tajemniczą „mafie” w SL, która pokierowała strajkami chłopskimi wbrew „legalnemu” kierownictwu SL. Na czele mas ludowych szły wtedy bohaterzy bojownicy KPP. Lud polski zwracał swe myśli i uczucia ku Wielkiemu Krajowi Rad.

Świat kapitalistyczny grzązł coraz bardziej w kryzysie, który Polska jako jedno z najsilniejszych ogniw imperializmu odczuwała szczególnie ciężko.

Świat imperialistyczny staczał się ku katastrofie wojennej i znowu Polsce przypadała w tej katastrofie rola szczególnie tragiczna i beznadziejna.

Jednocześnie najbezszybciej kłamstwa i najpodlejsze oszczerstwa nie mogły więcej zaćmić imponującego dzieła budowy socjalizmu w ZSRR.

W Polsce narastała fala rewolucyjnych walk. Rozszerzał się i ułmniał Front Ludowy. Wtedy to burżuazja dla obrony swej dyktatury musiała coraz częściej oszukańcze słowa zastąpić kulą policyjną. W miejsce lokai stawali policjanci i żandarmowie. W miejsce Konstytucji i ordynacji wyborczej z roku 1921, sanacyjny faszizm narzucił jawnie faszystowską dyktaturę i ordynację z 1935 r. Było to rozszerzenie na cały naród systemu stosowanego wobec KPP już od roku 1919.

Lokaje nie zostali rzecz jasna zwolnieni. Byli potrzebni do grania roli oszukańczej opozycji, do rozkładania rewolucyjnych nastrojów mas. Zaczęła się wielka dyskusja „ideologiczna” na temat tego, co lepiej służy dyktaturze obszarniczo-kapitalistycznej, bagnet i kula policyjna, czy też oszukańcze frazesy i załgany system burżuazyjnej pseudodemokracji? Ratajów, który w sejmie zapewniał, że tylko cienka karta zapisana paragrafami, to jest konstytucja z marca 1921 r., broni pałacu Radziwiłła, ordynacji Potockich w Łancucie i innych tego rodzaju placówek kapitalistycznych i ze stronnictwa

opozycji tę zasłonę ze wszystkich sił podtrzymuje, odpowiadał brutalnie Miedziński: „niepotrzebnie pan Rataj stawia się na posterunku przed pałacem księcia Radziwiłła, bo tam już stoi policjant i to jest pewniejsze”.

Oto jeden z ciekawych aspektów przemian systemu dyktatury obszarniczo-kapitalistycznej od konstytucji i ordynacji wyborczej z 1921 r. Od Daszyńskiego, Witosa, Korfatego i Grabskiego do Piłsudskiego, Becka, Grabowskiego i Rydza.

W przeciwieństwie do tej drogi burżuazyjnej dyktatury — ZSRR i kraje demokracji ludowej konsekwentnie i w całej pełni urzeczywistniały socjalistyczny demokracizm. Znajdują się w rozparowanym przez nas projekcie ordynacji wyborczej. Dzięki temu Sejm, powołany w wyniku wyborów opartych na tej ordynacji, będzie istotnie najwyższym wyrazicielem woli ludu pracującego miast i wsi, urzeczywistniającym suwerenne prawa narodu.

Wybory przeprowadzone na podstawie ordynacji wyborczej, rozwijającej zasady Konstytucji Polskiej. Rzeczypospolitej Ludowej staną się aktem politycznym o zbiorczej doniosłości dla narodu polskiego. Zaktywizują one masę ludu pracującego miast i wsi, wydobędą nowe ogromne zasoby energii twórczej, spotęgają entuzjazm i zapał i jeszcze bardziej umocnią wolę patriotycznej walki o najpełniejszy rozkwit narodu polskiego, o jego niepodległość i suwerenność.

W państwach burżuazyjnych akt wyborów coraz bardziej staje się fikcją. Między partiami republikańską i demokratyczną w USA między laburzystami i konserwatystami w Anglii, między prawicą socjal-demokratów a chadecją w Trizonii i we Włoszech nie toczy się walka o programy polityczne. Stronnictwa te wspólnymi siłami walczą z partiami reprezentującymi patriotyczną walkę o wolność i suwerenność narodów, o wyzwolenie i postęp społeczny o pokój. Attlee i Churchill, Truman i Eisenhower, Adenauer i Schumacher robią widokowo wyborze po to, aby odwrócić uwagę mas od właściwego frontu walki. Od frontu walki między masami ludowymi i ich ciemiężicielami, między siłami pokoju, którym przewodzi Związek Radziecki i siłami wojny, które organizuje imperializm amerykańsko-hitlerowski.

Masy ludowe coraz lepiej poznają się na tym oszustwie. Toteż tam, gdzie nie mogą oddać głosów na prawdziwych obrońców sprawy wolności i pokoju, coraz bardziej odwracają się od aktu wyborczego. W ostatnich wyborach w USA wzięło udział zaledwie 42 procent uprawnionych do głosowania. W południowych Stanach akt wyborczy jest całkowitą fikcją.

W naszym kraju — w kraju prawdziwej wolności, którego krajem pełnoprawnym gospodarzem jest lud pracujący, tj. obrzynia większość narodu, akt wyborczy jeszcze silniej zespoli naród wokół klasy robotniczej w narodowym frontie walki o pokój i Plan 6-letni. Będzie on potwierdzeniem tego, że demokracizm, który przynosi całą naszą Konstytucję, nie jest tylko deklaracją — lecz jest rzeczywistością naszego życia.

Nadchodzące wybory przyniosą jeszcze silniejsze powiązanie mas ludowych z państwem i władzą ludową i w ten sposób potwierdzą, że nasza Konstytucja jest — jak powiedział Prezydent Bolesław Bierut — wyrazem nowych stosunków politycznych, wyrazem władzy ludowej, która ukształtowała nasze Państwo demokracji ludowej, umocniła jego autorytet, jego siłę, jego organizację, ugruntowała prawa i wolności demokratyczne, jak również obowiązki obywatelskie.

Wybory te — pierwsze wybory po uchwaleniu Konstytucji — jako wyraz urzeczywistniania przez naród jej zasad potwierdzą historycznie słowa Prezydenta Bieruta, że „Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wzmacnia siły naszego narodu, jeszcze bardziej cementuje nasz front walki o utrwalenie pokoju, o realizację Planu 6-letniego... że ta Konstytucja jest tarczą i orężem naszego narodu w walce o rozkwit i świetność naszej Ojczyzny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Aleksander Juskiewicz

Fragmety z przemówienia wygłoszonego w Sejmie.

EDMUND NIZIURSKI

PACYFIKACJA KOZODRZY

PARNEJ i dusznej nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego czerwca wracał od narzeczonej Filipki. Koło kościoła zobaczył w przyćmionym świetle księżycy mundur i hełm. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Nie dlatego, że twarz policjanta była zielonkawa i trupia — to od księżycy. Ale to była obca twarz. Obca policja we wsi, to nie mogło oznaczać nic dobrego. Obszedłszy z daleka policjanta pobiegł alarmować kolegów i sąsiadów.

Gdy wychodził od Wórków, zobaczył nadjeżdżające od strony Sedziszowa dwa kryte samochody. Zza opuszczonych szyb błyszczały helmy. Auta zatrzymały się tu i tam i wysadzały grupki po czterech policjantów. Jeden zstąpił z wejścia do domu, trzech wchodziło do wewnątrz. Widać było, że działają według obmyślonego planu. Nie mylili się w adresach.

Alojz Nawoj długo nie otwierał. Policja dobijała się kolbami.

— Puszczaj ścierwo, bo ci rozwalimy budę!

Wreszcie drzwi nie wytrzymały. Świecąc latarkami, z wystawionymi nóżkami jak do strzału lufami wtargnęli do wnętrza. Jeden od razu stanął przy oknie, drugi przy drzwiach. Dwu pozostałych zaczęło

— Wszyscy wychodźcie!... Chłopów biorą!

— Na błoń! Pod kościół wszyscy! Pod kościół!

Ludzie wysypywali się z chałup. Rost gwar i okrzyki — Niedoczekanie ich! Nie damy nikogo! Za to, że się za ludźmi ujęli?

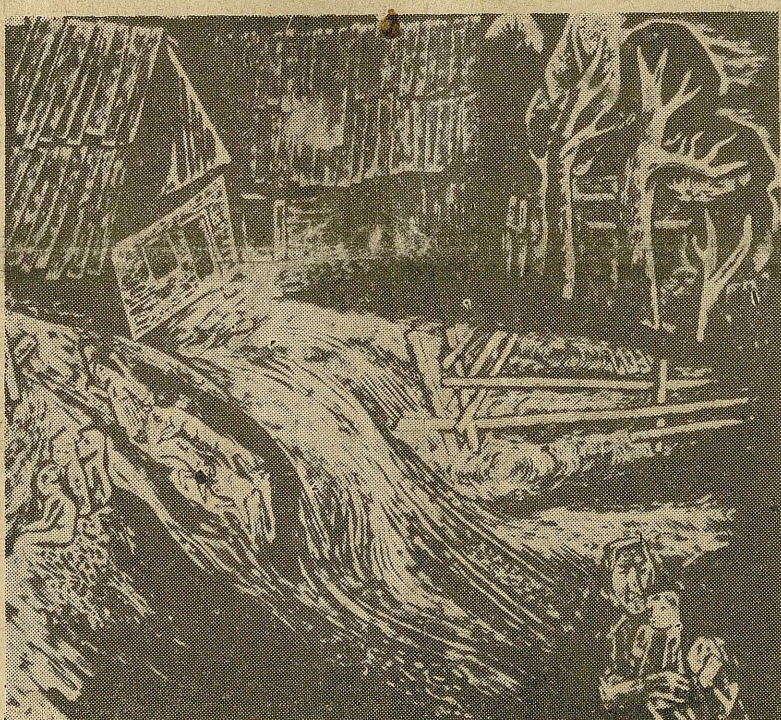
Polami, na przelaj pobiegli goncy do sąsiednich wsi po pomoc, wnet przybyli pierwsi ludzie z Wiśniowej i Wiercan.

Dochodziła już chyba czwarta godzina, bo rozwidniało się zupełnie i chmury nad kościołem podziły się złotą jasnością, kiedy zza zakrętu od strony kościoła wyjechała czarna kolumna policji.

— Idą! — przez tłum przeszło drżenie. Chmiel zaciął kamień w ręce i na moment pożałował swego bagnetu porzuconego w Kozodrzy.

Policjantów było szesnastu, wszyscy w hełmach bojowych, szli pieszo w zwartym szyku trzymając w rękach karabiny z lufami przy ziemi. Zatrzymali się w odległości stu metrów od barykady i dowódca drużyny, mały szczupły policjant krzyknął:

— Rozejście się! W imieniu prawa! Tłum nie drgnął nawet, wszyscy stali przy barykadzie, posępni i milczący. Komendant wydał rozkaz:



Drzeworyt Tadeusza Kulisiewicza

— Ładuj broń!

Policja z jakby umyślnym trzaskiem naładowała karabiny.

— Ostatni raz rozkazuję, rozejście się! — krzyknął mały komendant.

W odpowiedzi posypały się wyzwiska i przekleństwa.

— Nie ruszamy się dopóki ich nie wypuscicie!

— Za co ich aresztujecie?!

— Puścić!

— Precz!

— Wynocha ze wsi!

— Nie damy nikogo!

— Możemy wszyscy iść!

— Krzyknął posępnie Chmiel, postępując naprzód. Tłum zafalował i zaczął powoli przebiegać na policję, zbliżając się do niej ostrożnie a chciwie.

— Stać! Rozejście się! — krzyczała zdenerwowana policja. Takiego zachowania się tłumu widocznie nie przewidywała.

— Chodźcie bliżej, skurczyszyny!

— kiwno na nich, obrzucając plugawymi przekleństwami.

— Spokój! — darsi się teraz już zupełnie cicho mały komendant i szeptał coś przerażony staremu grubemu policjantowi. Ten poprawił pasek od hełmu i zawołał:

— Ładujcie, pan aspirant wam dobrze radzi, rozejście się po dobru, bo jak nadjadą samochody, to bidnie będziecie wyglądać.

— Kogo wy, ludzie, chcecie bronić, tych psów komunistów, tych zdradców i bezbożników? — krzyknął jakiś młody mundurowy przepiśowego wzrostu.

W odpowiedzi posypały się kamienie.

— Zebys wiedział... komunistów!

— ryknął Filipki.

Zakreślił się jak dyskobol i płasko z wysokości biodra cisnął kamieniem w policję. Nie chybił. Dragał chwycił się obracając z bruch i osunął na drogę. Chłopi z rykiem rzucili się na mundurowych, waląc dragami po hełmach.

*

Uliasz obudził strzały, które oddała policja za uciekającym

Chmielem. Wygrzebał się z barlogu i pokuścił na wies. Tu stanął zdezorientowany. Próbował dowiedzieć się od rozgorączkowanych ludzi o co chodzi, ale nikt nie miał czasu objaśnić.

Wtem nadjechało galopem czterech policjantów na koniach.

— Rozejście się! — krzyknęli.

Niedaleko w czeluści drogi zamajaczyło czarne pudło policyjnego auta. Uliasz przytulił się do skarpy drogi. Zobaczył jak prowadzili skutego Szeligę. Jasne włosy opadały mu na oczy. Strząsał je ruchem głowy.

— Dumny chłopak — pomyślał Uliasz ze ściśniętym sercem.

Za Szeligą szedł Jaworski. Głową przypostrzoną już siwizną trzymał wysoko i godnie.

Salomona Jana prowadzili pod ręce. Uliasz nie mógł go poznać. Salomon twarz miał opuchłą i czarną. Był skatowany jeszcze na strychu, gdzie spał.

Młody Jasiak Pietrzak szarpał się i o mało co nie wyrwał im się z rąk. Konwojenci rzucili się na niego z pałkami i porytki go po głowie aż nie obwisł im bezwładnie na rękach. Wtedy pociągłi go jak rzecz martwą i rzucili do samochodu.

Oczy Uliasza powilgocniały.

— Jezusie... Jezusie... — wyszeptał trzęsąc bezsilną głową.

Oderwał się od swojej skarpy i podbiegł do policjantów. — To zbrodnia tak ludzi poniewierać! Za co ich bierzecie? Za co? My mamy przyrządzone od starosty ropczyckiego, pana Celewicz i od pana prokuratora, że nikogo aresztować się nie będzie!

— Uciekaj, dziadu cholerny, bo oberwiesz! — pchnął go policjant kolbą.

— Ty na chłopę ręki nie podnoś, bo on cię żywi — krzyknął Uliasz. Policjant dobył pałki i dolożył mu z drugiej strony — Ja do waszego komendanta... pójde — dyszał Uliasz — Wy tu prawa żadnego nie macie.

Coś się do miejsca gdzie stało auto, z którego wyglądały czapki w srebrnych okłach. Zdążył kapełusz i do samochodu się przeciskał.

— Wróć! — konny policjant natarł na niego koniem i obalił na ziemię. Uliasz z trudem wstał i chciał podnieść kapelusz, ale jakiś młodziak w hełmie przygwozdzili mu go do ziemi bagnetem i patrzył rozbawioną miną na starca. Inni poczęli Uliasza odpychać kolbami. Oparł się dopiero przy szkole. Rozglądał się po Nockowej jakby ją pierwszy raz widział — Co robić? Co robić? — serce tootało mu nieprzytomnym rytmem. — Gdzie jest Bart? Gdzie Smogon? Czemu nie działają? Gdzie się podziewają w takiej chwili? Powinni coś robić interweniować, bronić.

Utykając i sapiąc zaczął wspinać się pod górę do domu Barta.

Bart nie spał. Stał boso w koszu w ganku i wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z drogi.

— Bart, dobrze, że nie śpisie — dyszał Uliasz.

— Bo co? — zapytał Bart spokojnie. Nie wydawał się zaskoczony. Uliasz zawsze podziwiał jego mocne nerwy.

— Chłopów aresztują! — wykrztusił

— Kogo?

— Szeligę, Jaworskiego

— A... — rzekł Bart chłodno — i kogoż jeszcze?

— Pieprzaka, Salomona, obaj do nieprzytomności pobici, braci Nawojów...

Bart uśmiechnął się słabo i dodał:

— I braci Kicińskich i Duszę Janę i pewnie Filipka jeszcze...

— Wy wiecie? — wyszeptał Uliasz

— No, można się było spodziewać — wycedził Bart.

— Słuchajcie, ratować ich trzeba... widziałem jak ich bili... — wpatrywał się w chłodną twarz Barta. Jego starce oczy zebrały...

Bart odwrócił głowę.

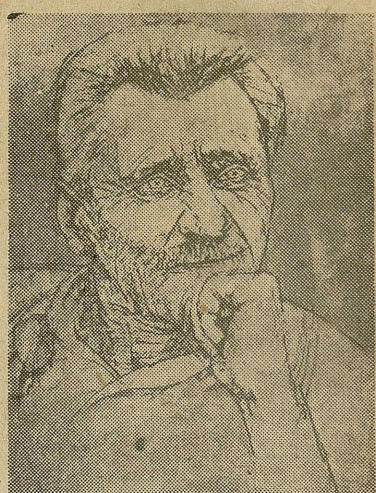
— Cóż, ja ich ostrzegalem...

— Każdego z nich od małego znałem, to przecież ludzie z naszej wsi, Bart.

— Miekie serce macie, Uliasz. Pewnie ludzi żal... mnie też ludzi żal... ale pomyśl Uliasz, to przecież komuniści...

— Ja tam nie wiem... nie myślałem... co za różnica... Starosta obiecał wszystkim od kar uwolnić... mówił, że aresztować nie będzie.

Bart wzruszył ramionami i głową smutno jakoś pokręcił. — Ech,



Rys. Tadeusz Kulisiewicz

Uliasz, starzejecie się... Takich prostych rzeczy nie rozumiecie. On by im wtedy i gruszek na wierzbie obiecał, byle go puszczli. Nie widział jak portkami trząsł. Ale co warta taka obietnica jak z nożem na gardle wymuszona. On by nawet nie mógł jej spełnić choćby chciał. Bo on takiej władzy nie ma. Prawo jest, rozumiesz? Karne prawo! Za podżeganie i rozruchy i lenie władzy kara przepisana i koniec.

— Bart?

— Tak, tak, Uliasz, dlatego mnie już wtedy śmiech brał i żal na przemian z tych targowań ze starostą... z tej ludzkiej głupoty.

— Nie z głupoty... Bart... gdybyś tam w budach tygodni chociaż pomieszkiał, gdybyś lebiode zamiast chleba jadł i patrzył jak ci dzieci tyfus dusi...

Bart skrzywił się boleśnie.

— Ale co ja mogę zrobić?

— Iść... do policji przemówić... wstawić się... wytłumaczyć... oni się przecież znają...

— Ja już za nich więcej szyi nadstawiać nie będę.

— Bart, to przecie chłopci, chłopci najbardziej...

— Ale mądrala są, mądrzejsi od innych, niech mają, niech...

*

Kolumna czekała gotowa do drogi. W pierwszym samochodzie skuci aresztanci z pieszą policją, w drugim komendant akcji — komisarz Springer i inspektor policji z Krakowa. Obok nich stali Kołcz i Szumski. Po obu stronach samochodów konna policja.

Komisarz dawał już znak do odjazdu, gdy na drodze pojawił się zaskoczony przodownik.

— Proszę o rozkaz... Nie rozeszli się — meldował z daleka.

— Nie rozeszli się? — skrzywił się komisarz. — Trzeba ich było poklepać.

— Melduję, klepaliśmy i nic... Strzelac rozkazu nie było — dorzucił tonem usprawiedliwienia.

— Dużo ich tam? — zapytał komisarz.

— Z pięciuset będzie i wciąż jeszcze przybywają z innych wsi. Jaką organizację mają czy co? Próbowaliśmy rozpedzić, to z dragami na nas. Są ranni.

Inspektor przyłożył do zaspianych oczu lornetkę.

— Niestychane — powiedział marszcząc się — Wzięliśmy przecież tylko samych komunistów... Pan się nie pomylił, Kołcz?

— Nie, panie inspektorze!

— Więc o co tym ludziom chodzi? — odstał lornetkę — W Kozodrzy na samo słowo „komuniści” rozbiegło się wszystko... Czy ci ludzie wiedzą, że bronią komunistów?

— Tak jest, panie inspektorze — wyjaśnił szybko Kołcz.

— Pytam się, czy to zostało im wyjaśnione? — zwrócił się zdenerwowanym głosem do małego aspiranta.

— Tak jest! — wyprężył się aspirant.

— I co?

— Obrzucili nas kamieniami. Chwile trwało kłopotliwe milczenie. Nagle zaskrzypiał rozdrażniony głos inspektora:

— Na co pan jeszcze czeka, komisarzu, aż cały powiat się zleczi? Akcję pan rób!

Edmund Niziurski

Fragment większej całości

STANISŁAW PIĘTAK

ANTON CZYKI I INNI^{*)}

DO starostwa Antonczyk przybył tuż przed dwudziestą. Był wtorek, dzień przeciek interesantów, w poczekalni czekało wielu ludzi i denerwowało się, bo starosty ciągle jeszcze nie było w biurze.

Krzesa ustawione pod ścianami były pozajmowane, Antonczyk rozglądał się po poczekalni i nie widząc miejsca, gdzieby mógł usiąść, stanął na środku i poskrobał się od niechcenia w głowę. Z pokoju starosty wyszedł zaraz woźny, mężczyzna jeszcze młody, gładko wygolony o wyglądzie wypieszczonego na białym chlebnie lokaja. Strzępnął resztki kurzu z drzwi, przybrał urzędową minę i patrzył do surowym to uniżonym wzrokiem w zależności kogo z interesantów mijał, stanął przed Antonczykiem i groźnie brwi zmarszczył.

— A wy po co?

— Ja ze skargą na hrabiego Przecznickiego.

— Phi, zwiariowaliście — gwizdał Wójcik.

— Jego bażanty zniszczyły mi proso kompletne. Komisja gminna to uznała.

— Aha, więc przyszliście do nas o poświadczenie.

— Właśnie, bo hrabia wójt naszego nie uznaje. Powiada, że ludowiec i tak dali...

— Wy skąd jesteście? — wtrącił się w tym momencie do rozmowy ubrany po cywilnemu komisarz policji.

— Z Ostrówka.

— U was wójt jest Jasiniak z Dolin?

— No, tak.

— A braci Kozików z Przeczniccy znacie?

— Ma się rozumieć.

Do poczekalni wszedł w tej chwili grupa wójtów, szepcząc, gasząc pośpieszenie papierosy. Komisarz odwrócił się w tej chwili i podszedł ku nim momentalnie.

Dwóch wójtów jedynie znał z widzenia Antonczyk, wójt z gminy Osin i wójt z Rachowa. Pierwszy, wysoki postawny mężczyzna, nazywał się Popieluch, zachowywał się tak, jakby on był w mieście pierwszym człowiekiem po staroście. Ledwie się odklaniał ludziom, stał wyniosły uśmiechając się z rezerwą i potakiwał rzadko rozmówcom, jakby każde swoje zdanie cenił na wagę złota.

Kotaba, wójt z Rachowa, zachowywał się zupełnie inaczej. Niski,

wygładający raczej na Cygana niż Polaka, kręcił się jak fryga, chociaż, opowiadał dwuznaczne dowcipy i nie śmiejąc się sam, pobudzał innych do niepojętego śmiechu.

— Walery, takie gorąco, nie lepiej by ci to przebieć brzuch kolkiem, zaraz by ci ułożyło — pisał Kotaba i popchnął lekko stojącego za nim tłuszczoła, który bez przerwy zaśmiewał się, trzymając się za brzuch i wołał: — Loboga, naprowadź ni moge, ni moge.

Nagle jednak umilkli, bo do poczekalni wszedł nowy gość, był to Jasiniak. W odróżnieniu od swoich kolegów ubrany był po wiejsku, w koszuli bez kołnierzyka, zapiętej na guzik, w butach codziennych ledwie oczyszczonych z błota. Był bledy, szeroka jego twarz o grubym nosie i niespokojnych, bladoniebieskich oczach była spocona. Przygryzał wargi i nie podchodził do nikogo, trzymając się na uboczu.

— Idzie — ktoś szepnął.

Istotnie, drzwi się rozwarły i stanął w nich już starosta. Gładko wygolony, ładna jego twarz wykrzywiona była grymasem. Zmrużył lewe oko i nie wyjmując ręk z kieszeni u spodni, wysoki i lekko zgarbiony szedł w kierunku Jasiniaka.

— Co wyście, dranie, narobili? — ryknął natychmiast.

Jasiniak zachmurzył się jeszcze bardziej, otarł nos niezgrabnym rękawem i wszedł do pokoju za starostą.

— Da mu wejrę — pisał Kotaba.

— Uspokój się, nie bądź głupi, Karol — strofował go Popieluch i przybierając maskę obojętności wyjął IKCa z kieszeni i wertował go stroma po stronie. Wszyscy drżącymi po kątach mężczyźni i kobiety szepcząc, wysunęli głowy, nastuchiwali.

— To zdrada, to zbrodnia! — ryknął starosta i chodząc tam i napowrót po pokoju. Cień jego raz po raz migał po matowej szybie drzwi.

— Walczymy o słusne prawa, to jest legalne...

— Dam ja ci legalność. Natychmiast wezwać chłopów do przewartowania strajku. No, ruszaj na bity pysk.

— Proszę inaczej mnie traktować, ja jestem przedstawicielem tysięcy ludzi.

— Ty jesteś łajnem, o, wiesz co ci powiem. Dochrapiesz się, popamiętasz. Jeszcze dziś wydam nakaz aresztowania ciebie.

— Aresztować mnie można, tylko jeśli jest prawo po temu.

— Milczcie, chamie, ty nie nie rozumiesz. Tu nie chodzi o wasze partyjne gierki. Tu idzie o losy Polski. Myślicie, że wy to robicie, trutniu jeden, to robicie komuniści. W Przecznicu odkryliśmy komórkę Kom. Związku Młodzieży. Dwóch siedzi już pod kluczem. Kto to jest? Kto, byku? Brat waszego sekretarza. Opamiętaj się, masz żonę, masz dziecko, ostrzegam cię o statni raz.

— Chodzi o sprawiedliwość — bąknął już ciszej Jasiniak.

— Będziesz ty miał sprawiedliwość. Daj ci czasu osiem godzin. Zrób, co każę, potem już będzie za późno.

— Nie da się, naród by rozdarł mnie na kawałki. Zresztą ja jestem karny członek stronnictwa, słucham swoich wlad...

— Precz! — wrzasnął starosta i otworzył drzwi z trzaskiem.

Antonczyk miał wiele nadziei, że załatwi dzisiaj sprawę, choćby przez Wójcikiego, któremu można było obiecać jaką kurtę, toteż był mocno zmartwiony i w pierwszej chwili nie schodził na ulicę. Poczuł ogromne zniechęcenie i usiadł na ławce pod ścianą na korytarzu.

— Jednak pan czeka... — Antonczyk podniósł głowę i ujrzał przed sobą komisarza policji.

— O to proso idzie?

— Właśnie, tyle drogi zrobiłem na darmo.

— Cóż, sprawa jest blaha, ja mógłbym ją załatwić.

— Pan?

— Poszukujemy młodego Kozika z Przeczniccy, on podobno się ukrywa w waszej wiosce, dalibyscie znać, od ręki załatwifom wam to proso.

— Co? — przestraszył się Antonczyk i podniósł się pośpiesznie z ławy. — Jestem porządnym człowiekiem, ja nie szpieg. Za nic, za nic!

— Cicho, daję panu ciasto do gęby, a pan szceka — zamruczał komisarz. Wyjął papierosa, zapalił go i nie patrząc już na Antonczyka, skierował się wolnym krokiem po schodach na ulicę.

*)

Psy zaszczeły laszeczki przyjaźnie. Antonczyk odruchowo uniósł się z ławki i zobaczył adwokata. Magdziarz szedł z wysokim, młodym mężczyzną i gestykulując zabawnie coś mu opowiadał. Włosy jego już białe, bujne, starannie zaczesane do tyłu, twarz rumiana i świeża jak jabłko, oczy ciemne, żywo patrzące.

— Tato, poznaliście gościa? — wołał już z daleka, podnosząc rękę do góry.

Stary Magdziarz poprawił okulary na nosie i wyszedł na schody.

— Coś jakby pan Potoczek — wybąkał.

— Zgadliście, Halino, Halino, pora wyprawić ucztę, pora, czym chata bogata...

Magdziarzowa, wysoka blondynka, o trzydzieści lat chyba młodszą od męża, wyrzwała z kuchni i natychmiast znikła. — Zaraz, ja muszę się przebrać, tak nie można.

— Siadajmy na razie więc tu, panie Potoczku. Masz pan, baby to baby. Potem będzie płakać cały tydzień, że zastaliśmy ją nieubraną. — Prosty fartuszek czasem najbardziej zdobi — powiedział Potoczek, mężczyzna już chyba po trzydzieste, a wyglądający ciągle na chłopca. Twarz miał różową, prawie bez zarostu, nos krótki i grubawy i oczy niebieskie, wilgotne i trochę wystraszone.

Mecenas dopiero teraz zauważył Antonczyka i na moment przybrał oficjalną postawę.

— Do mnie, gospodarzu?

— Właśnie.

— W sprawie sądowej, czy innej?

— Jakby tu wytłumaczyć, ja w dość osobliwym interesie. Tyczy się to hrabiego prosa.

— Skąd jesteście?

— Ja z Ostrówka.

— Proszę i was po sąsiedzku na na obiad, gospodarzu, pomówimy o wszystkim przy stole.

Antonczyk był zmieszany, patrzył niepokojnie po ścianach, na których wisiały portrety rodzinne i amatorskie landszafty i trzymając wciąż kapelusz w ręku, przycupnął na rogu stołu obok Potoczka i starego Magdziarza. Służąca wnosila już talerze z zupą, ustawiała je przed gośćmi na stole i dysząc wylatywała znowu do kuchni.

— No, w imię Boże — powiedział Magdziarz i ujął łyżkę.

— I chleba, Jaziu, przynieś. W polskim domu nigdy nie powinno chleba braknąć.

— Cóż tam starosta? — bąknęła Magdziarzowa.

— Ano, trochę się nastraszył.

— Przewiduję pan, że strajk przyjmie wielkie rozmiary? — spytał Potoczek.

— No, w miarę, w miarę...

— Do ekscesów chyba nie dojdzie?

— Panie kochany, do tego nie dopuścimy, przecież to byłoby na rękę wywrotowcom, komunistom.

— Żądania są dosyć ostre.

— Dole tego pragną, pan przecież wie.

— Myśli pan, że rząd ustąpi w czymkolwiek?

— Musi, nie dzisiaj, to jutro. Nas jest 80 procent, my jesteśmy narodem.

— Sprawa głównie sprowadza się do pierwszych punktów.

Właśnie, powrót Witosa, rozpisanie nowych wyborów, współudział w rządzeniu Rzeczypospolitej.

— Pana mecenas czeka jeszcze wielki los — uśmiechnął się przy pochyleniu różowy Potoczek.

— Zbaczmy... Gdy spadnie na barki obowiązek, nie odmówię. Antonczyk nie uporał się jeszcze z zupą, bo jada ostrożnie i nieśmiało, a tu już służąca poczęła roznosić na półmisku obłożone jarzynami kotlety. Nie mogąc sobie dać rady z nalożeniem mięsa na talerz, upuścił widelec na podłogę i zawstydzony wstał od stołu.

— Spokojnie, przyjacielu, tu tak samo dom chłopski, nie trzeba się przejmować, po gospodarsku nabierzeć, po naszemu — przemówił Magdziarz i zainteresował się wreszcie swoim drugim gościem.

— Przysłał was może Jasiniak?

— Nie, ja w swojej sprawie.

— Tak? Słucham...

— Bo to poszło o proso. A hrabia nie chciał dać odszkodowania — zaczął Antonczyk i płacząc się w słowach i gmatwając rzecz okropnie, opowiadał wreszcie historię swojej krzywdy.

— Przecznicu, o, to hycel, ale niedługo już jego władzy, my, chłopie, dobierzemy się do niego.

— Załatwi więc to pan prezes?

— Załatwie, a jakże, dlaczego nie miałbym tego załatwić. Napędzę nawet strachu hrabiemu.

— Ale kiedy?

— Moi drodzy, po historycznych wypadkach.

— He, nie pojąłem.

— Gdy wygramy strajk.

— Proso jednak może wylecieć do cna do tego czasu. Co ja biedak zrobię?

Magdziarz przerwał na chwilę jedzenie i zaśmiał się tubalnie. — Widzisz, panie Potoczku, po co ci wymyślać historie, masz tu naszego chłopca jak na dłoni. Ruszył się do walki, może być rewolucja, a ten tylko o swojej zagroździe. To proso i świnia ogon są ponad wszystkim. Przyjacielu, teraz najważniejsza rzecz nasza walka, proso później...

Do rozmowy wtrącił się w tej chwili Potoczek.

— Pan należy do Stronnictwa Ludowego? — zapytał Antonczyka.

— Nie.

— Wiesz co, jest pan z Ozonu? — chichotnął.

— Zamierzam się właśnie zapisać do Stronnictwa — usprawiedliwiał się Antonczyk — nie było czasu, bida. Tuż po wojnie zajmowałem się więcej polityką.

— I na kogoście wtedy głosowali?

— Na kogo? — zastanowił się Antonczyk i skłódnął zupełnie.

— Na chłopską listę, na piątkę jakby.

— Piątką to przecie była lista komunistów.

— A, jo już nie wiem, tyle to lat minęło... — Antonczyk czuł, że jest cały czerwony i spocony, pochylił się nad stołem, zmieszał straszliwie i już do końca obiadu nie wspominał o swojej sprawie.

Magdziarz, Potoczek i Magdziarzowa zresztą nie uważali już na niego zupełnie. Przysunęli się krzesłami do siebie i zjadając soczyste, żółte gruszki, śmiali się, opowiadali sobie przeróżne historie.

Antonczyk siedział jak na tureckim kanapie, nie pojmując nic z tego, co mówią, wreszcie skorzystał, że stary Magdziarz odchodził, wyszedł też za nim na ganek.

— Jak wam tam na imię, może-byscie mi drzewa urabali — zawołała służąca, wychylając spoconą twarz z kuchni.

— Dobrze — zgodził się pokornie Antonczyk. Uważał w naiwności wielkiej, że taki jest chyba zwyczaj, trzeba odrobić to, co się zjadło, zdjąwszy więc katane, zabrał się pośpiesznie do roboty i rzwał i rąbał sosnowe łupki prawie godzinę. Z jadłalni tymczasem wciąż dolatywały na podwórze podniesione okrzyki głosy Magdziarza, Potoczka i Magdziarzowej i ich wesoly śmiech.

*)

Pochód minął już Wojtkowice, przekroczył most na niewielkim dopływie Wisły, rzecze bez imienia, nazywanej w każdej okolicy inaczej, wreszcie poczęł zbliżać się do Garnkowa, wioski rozłożonej na szerokich błoniach o dwa kilometry od miasta.

Manifestanci dopiero w ostatnim momencie zorientowali się, że nadciąga policja. Auta zahamowały, gwałtownie zatarasowały drogę, policjanci w stalowych hełmach, w płóciennych ubraniach zeszkakiwali pośpiesznie i ustawiali się z karabinami gotowymi do strzału.

Pochód na sekundę jakby zamarł, stanął. Niewielkie grupy ludzi poczęły nawet uciekać, już po chwili jednak rzędy wyrównały się, szlądary wyżej zaopatrzeni na wietrze, zaintonowana buntownicza pieśń o garmela oddechem obryzwała masę narodu.

(Dokończenie na str. 7)

JAN KOPROWSKI

MARSZ NA PRZEWORSK^{*)}

GDY pochód zbliżył się do Błonia Browarnego, liczył on już ze dwadzieścia tysięcy ludzi. Chłopi ciągnęli, zda się, bez końca. Kosy nasadzone na sztorc błyskały w słońcu, co bojaźliwsi zamykali się w swych mieszkaniach, by na to wszystko nie patrzeć.

Na moście prowadzącym do miasta stała policja konna i piesza. Chłopi idąc wznosili okrzyki, które zlewały się w potężny szum, pełen gniewu i grozy. Droga do Przeworska była zamknięta. Pochód poczęł przechodzić przez gościniec na dużą, rozległą łąkę nad Mleczką, człoł jego zajmowało miejsce pod wysokimi osikami. Wkrótce cała łąka przylegająca do Błonia Browarnego zapelniała się ludźmi. Było ciasno i upalnie. Chłopi siadali na murawie umoczeni i zakurzeni. Nad drzewami krząły stada wron kracząc nieustannie. Ktoś podniósł głowę do góry, ktoś uragał: „A żebyś się rozdarła od tyłka do gardła”.

Policja zebrana na moście zachowywała się spokojnie. Odnosiło się wrażenie, że oczekuje rozkazów, albo że brak wśród nich tego, który decyduje i prowadzi. Chłopi patrzyli na most z nienawiścią, w tłumie słyszało się słowa szyderstwa i pogardy pod adresem policji.

— Pacholki pańskie! Sługusy, psianaci! Krwiopijcy!

Nastroj wśród zebranych z całej przeworskiej ziemi chłopów podnosił się jak woda na wiosnę. Przywódcy marszu na Przeworsk uwijali się wśród nich z powagą. Komitet działał sprawnie. Sekretarz Stronnictwa Ludowego w Błoniu Browarnem Pawełski dołączył się do nich również, był znany i cieszył się opinią człowieka mocnego i nieustępliwego. Wśród zebranych krążyły ulotki. Twarog wciśnięty między ludźmi, siedząc pod wysokim drzewem na murawie, czytał właśnie, powoli i z trudem, nielatywne słowa:

...Polityka i gospodarka rozpada się kapitalizmu, przetrzuciąca wszystkie ciężary na ludność pracującą doprowadziły już do tego, że ludzie muszą jako jedyny skutek chwycić za broń, walczyć coraz większą siłą, bezpośredniością i w coraz większej skali. Opinia robotnika, chłopca, inteligencji pracującej całej Polski winna poruszyć się w obronie więźniów faszystów.

...Ruch chłopski wiąże się coraz bardziej z walką klasy robotniczej, świadomie zmierzającej do obalenia rządów faszystowskich, do zwalczania kapitalizmu, do przeję-

cia władzy w ręce rządu robotniczo-chłopskiego.

*)

Komisarz Frank obrzucał wzrokiem nieprzebrane masy chłopstwa. Rozumiał, że walkę należy wreszcie zacząć ostrożnie. Chłopów siła pokazała, może tam nawet — myślał komisarz — karabiny mają w ukryciu. Po raz pierwszy w swojej pracy zetknął się z masą ludzką. Gdzieś w głębi niepokój szarpał ją sercem, na twarzy jednak malowało się opanowanie, a nawet gniew surowy.

Po rozmowie ze starostą i posłem zdecydowali, że trzeba uciec się najpierw do pertraktacji z chłopami. Nakazali stojącemu w pobliżu przodownikowi policji wyciągnąć białą płachtę, uprzednio, widząc, na wszelki wypadek przygotowaną. Za chwilę z łąki można było dostrzec furkającą na wietrze tkaninę.

Wśród chłopów i w kierownictwie pochodu nastąpiło poruszenie. Po paru minutach przodownik schował białą płachtę i poczęł zjeżdżać na koniu po zboczu drogi na skraj łąki. Koń szedł stępą, powoli, przodownik wjechawszy na łąkę zeskokczył z konia i trzymając go za uźdę odezwał się.

— Obywatele chłopi! Wybierzcie delegację. Władze nasze chcą z wami pertraktować. Czekają na was przy moście by móc z wami pójść do starostwa.

Wskoczył na konia i odjechał. Na łące zrobił się ruch. Chłopi gadali między sobą, przeciskali się, szli to do przodu, to do tyłu. Delegacji nie trzeba było wybierać. Na rozmowy do ratusza miało pójść kierownictwo pochodu. Jeszcze naradzano się przez chwilę, jeszcze ustalano krótko formę wystąpienia.

Sześciu ludzi ruszyło w stronę mostu. Wkrótce potem jechali w stronę ratusza. Przez szybę samochodu widać było na kościelnej wieży połyskujące w słońcu lufy karabinów maszynowych.

— Co się stało? Kto tam tak wrzeszczy?

Policja odpędzała jakichś ludzi, którzy chcieli przedostać się na łąkę. Odpychali ich siłą, tamci zawracali, doszło do małej szarpaniny. Chłopi zaczęli krzyczeć z łąki i wygrażać kijami.

— Pucie ich, pucie!

— Co to za ludzie? — spytał Twarog.

Twarog wzruszył ramionami. Wkrótce biegła już wiadomość między chłopami, że to robotnicy z

przeworskiej cukrowni szli do nich z pozywieniem. Paru, mimo awantur z policją, zdołało przedostać się na łąkę, przynieśli chleba i kiełbasy.

— Nie dajcie się! — wołali do zebranych. — My z wami!

— Śmierć psuobratom!

Robotnicy wtopili się w tłum, zagrzewali chłopów do wytrwania. Policja na drugim brzegu Mleczki stworzyła zamknięty szereg kordon. Teraz nikt już nie zdołał przedostać się tamtejszy. Wśród chłopów ożywały się nastroje. Gadali z przejęciem, padaly słowa mocne i gorące.

*)

Rozmowy w ratuszu trwały dwie godziny. Starosta Solński zachowywał się z rozwagą i wielką łaskawością. Komisarz Frank milczał, czasem tylko zamruczał pod nosiem jak samowar. Posł ludowy Moneta był najbardziej czynny i ruchliwy, a lepił się do delegatów chłopskich jak miód.

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ŚLADAMI POWSTANCÓW LESKICH

Wiem, że to będzie tak po prostu —

W kurzawie drogi, poza mostem,

samochód stanie w widłach rzek.

A, że dopiero wczesne rano,

słońce nad wsią we mgle przystanie

i chmury białe jakby śnieg.

Zaskrzypi zóraw koło studni

i na wybojach wóz zadudni,

budzić się będzie zwolna wieś,

A na mogiłach tuż nad Sanem,

sosny od wiatru kołysane —

jakby strop nieba chciały nieść.

Wybiegnie chłopiec z jakiejś chaty,

spojrzy na słońce. Tu przed laty,

twój ojciec broniąc ziemi padł.

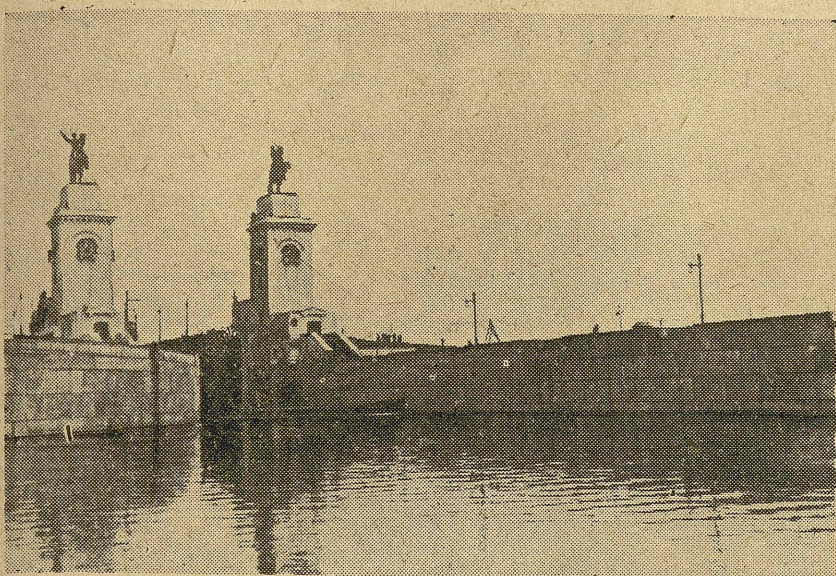
Od drogi młody głos zawoła,

gwarem przywita dzieci szkoła:

aż dotąd dotarł ojca ślad.

Jan Koprowski

*) Fragment opowiadania o strajkach chłopskich.



WSIEWOŁOD IWANOW

CHWAŁA RADZIECKIEMU CZŁOWIEKOWI

WODA wołgo-dońska dotknęła korzeni pszenicy, której kłos na próżno błagał niebiosa o deszcz.

I wyschły kłos — szczęśliwy — wypełnił się ziarnem! Orazu chiński! I ty, co znosisz się w Indiach! Robotniku i chłopie wszystkich kontynentów! Każdy, kto w pocie czoła zbierasz swój chleb — spójrz na ten kłos w skwarnym stepie naddońskim!

Ten nabrzmiały kłos, to przejryste złoto, wypełnione wodą Wołgo-Donu, śpiewa o pokoju, o pokojowej pracy ludzi radzieckich, o ich szczęściu, ich natchnionej twórczości...

Kanał Wołżańsko-Doński stworzyli nie tylko tysiące ludzi pracujących w strefie jego budowy. Stworzył go cały naród radziecki. Uczniak radziecki nie pytał, rzecz jasna, swego ojca, tokarza w fabryce, czy profesora w instytucie: „A coż ty, ojcze, zrobił dla Wołgo-Donu?” Ojciec sam opowiadał o tym, co zrobił. A kiedy oczy syna, czy córki jaśniały dumną radością, ojciec w tym blasku znajdował nowe siły i nowe źródło natchnienia. Uczeń o swej radości opowiadał kolegom i radość szerzyła się ogarniając kraj cały.

Zakłady Moskwy, Leningradu, Uralu, Ukrainy z niezwykłą pieczołowitością i oddaniem wykonywały zamówienia Wołgo-Donu. Uczni pracowali bez przerwy w laboratoriach. Wynalazcy tworzyli nowe maszyny. Robotnicy budowali je z niezwykłą szlachetnością. Każda już wykonana część maszyny była nie tylko „moją radością”, czyli radością tego, kto ją stworzył, ale i „naszą radością”, czyli radością całego radzieckiego narodu.

*

„Przypominam sobie pewne spotkanie.

Dął wicher. Morze rozfalało się. Na górnym pokładzie olbrzymiego motorowca „Rosja”, kursującego między Odessą i Batumem, wisiały całe rzędy niedawno pomalowanych białoczerwonych kół ratunkowych. Kiedy marynarz przebiegał zrecznie między rzędami, koła mijały się, jakby chcąc go pochwycić i swawolnie naznaczyć świeżą farbą. Widać było, że morze jest wzburzone.

Poniżej, na jednym z licznych pokładów tłoczyli się przy barierze pasażerowie, patrząc na kapiących się w basenie pływaków. Statek zbliżał się już do Odessy, wielu pasażerów płynęło z Suchumi i Soczi — zdążyli przywyknąć do tego, że kołysania prawie się nie odczuwa — wszyscy mówią o tym, co każdy chciałby zobaczyć na brzegu.

Dwóch młodych ludzi i dziewczyna o długich warkoczach i w okularach, spoza których jej oczy, i tak ogromne, wydają się jeszcze większe, rozmawia z niemłodym mężczyzną w pięciennym ubraniu i południowym słomkowym kapeluszu z szerokim rondzie.

Mężczyzna patrzy na młodzież z niezadowolaniem.

— No, tak... Więc przerwaliście urlop dla zobaczenia Kanału? — zapytuje z ponurą twarzą.

Dziewczyna broni się: — Jak mogliśmy zrobić inaczej? Urlopu nam nie przedłuża...

— Oczywiście, każdy chce zobaczyć Kanał. To w porządku. Ale was trudno pochwalić. Jak odpoczynek, to odpoczynek! Nie należy wyjeżdżać przed końcem.

— O, przepraszam! — przerywa mu dziewczyna. — Nie macie racji! My wszyscy troje robiliśmy refleksy dla latarni morskich na Kanał...

— ...i w nagrodę za dobrą pracę dostaliście skierowanie do domu wypoczynkowego? Domyślam się tego — mówi młody mężczyzna. — I wyjeżdżacie przed końcem wypoczynku. Czy to w porządku, co?...

— Nie rozumiecie nas — mówi dziewczyna. — Siedzieliśmy w nocy nad morzem. I nagle wyobrażaliśmy sobie Kanał w porze nocy. No! Nie widać ani ołowian, ani w ogóle brzegów. Kanałem płynęły parowce. Nikt nie widzi co ludzie zrobili, jakiego dokonali dzieła nieprawdopodobnie pięknego... I nagle na latarni zapala się reflektor i rozświetla całą czarodziejską drogę okrętu. A ten reflektor, to właśnie myśmy zrobili... Oni dwaj, i ja, i jeszcze inni robotnicy i inżynierowie... Więc jak mogliśmy nie przerywać urlopu i nie

pojechać na Kanał? No, i jedziemy...

— Tak... A swoją drogą, to nie w porządku — upiera się przy swoim tamten.

Zamilkli. W chwilę potem dziewczyna, jakby pod wpływem nagłego skojarzenia, zaczyna życzliwie wypytwać mężczyznę:

— A skąd wy właściwie jedziecie?

— Ja? Z Leningradu.

— A dokąd?

— Jak to dokąd? Na Kanał.

— Po co?

— Zobaczyć moją robotę. Pracowałem przy wykonaniu niektórych agregatów dla stacji pomp. Mówią, że agregaty okazały się doskonałe.

No, bo i jak mogłoby być inaczej? Wytwarzamy nie tylko maszyny, ale wpływamy na umysły ludzi.

Świat potrzebuje naszej pracy, wzbogacamy jego umysł i serce.

— Jeśli o to idzie, macie rację!

— Pewnie, że mam!... No, oczywiście, myślę też i o swoich osobistych, ludzkich sprawach: wnuczek mi rośnie, ale za wcześnie mu jeszcze jechać na Kanał; więc dziadek musi wnukowi o nim opowiedzieć.

— Tylko dlaczego wybrałście sobie taką okreśną drogę?

— Jakto okreśną? Przecież ja prosto jadę...

— Z Leningradu przez Jaltę? Wiadziałam gdzieście wsiadali...

— A tak, byłem w Jaltie na odpoczynku — mówi starszy mężczyzna.

— Aha! Jak długo?

— Ośmiemnaście dni.

— To jakiś krótki urlop?

— Tak, bo ja urlop — mówi starszy człowiek połał się i milknął.

Dziewczyna przygląda mu się uważnie.

— Przepraszam was — mówi z udanym oburzeniem — ale z tego wynika, że przerwaliście urlop? To bodaj wcześniej niż my! A nam dajecie pouczenie!

— Rzeczywiście daję pouczenie...

— mruczy tamten pod nosem. — Ale nie tylko wam, ile sobie. To prawda...

Uśmiecha się z zakłopotaniem. Dziewczyna patrzy na niego i również się śmieje. Śmieją się i dwaj chłopcy.

*

„Kanał Panamski w Ameryce budowano z górą trzydzieści lat. Nie mówiąc już o tym, że jego długość jest znacznie mniejsza od Wołgo-Donu. Kanał Panamski nie nie nawadnia i nie jest źródłem energii elektrycznej — jedynie przepuszcza statki. A Kanał Wołgo-Doński jest i transportowym — czyli przepuszcza statki — i nawadniającym, i stanowi źródło energii elektrycznej i, razem z olbrzymimi zbiornikami wody oraz niezmiernie skomplikowanym wyposażeniem technicznym, został stworzony w niecałe cztery lata.

Ten niesłychanie krótki termin realizacji gigantycznej budowy mówi o wzroście potęgi techniki radzieckiej, o entuzjazmie ludzi radzieckich, o ścisłym związku naszej nauki z wytwórczością. Budowa Kanału Wołgo-Dońskiego — to rozwiązanie wielkiego zadania naszej gospodarki narodowej.

Zadanie, rozwiązane na przestrzeniach stepowych między Wołgą i Donem, zostało ponadto rozwiązane w sercach ludzi, którzy Kanał stworzyli. Dla wielu z nich było to więcej niż uniwersytet.

Budowniczo przestudiowali i przeczytali tysiące dzieł. Były wśród nich i książki techniczne, i wiersze, i powieści klasyków światowych i radzieckich, i książki o sztuce, i dzieła Lenina i Stalina — księgi uczące żyć i walczyć o wielkie cele.

Powstanie również księga — epopeja o samym Kanał, o jego ludziach, o ich bohaterskiej pracy.

Myślę, że jej ukazanie się nie jest sprawą daleką. Rekojmia jej powstania jest zachwyt całego narodu radzieckiego dla zdumiewającego bohaterstwa pracy jego synów. I pierwsze pieśni tego poematu pisze już może w tej chwili wielki poeta, którego imię nie jest nam jeszcze znane, ale w którego sercu palą się słowa płomiennie, zrodzone z czynu radzieckiego człowieka i szukają ujścia.

Wielki jest człowiek radziecki i wielkie jest dzieło, jakiego dokonał i dokonywa. Dni jego są na miarę olbrzyma, są piękne i radosne: CHWAŁA MU!

Wsiewołod Iwanow

TADEUSZ LISIECKI

ARMIA — WSPÓŁTWÓRCA NARODU

LATO 1927. Na niezmiernych obszarach Chin rozszalała się kontrrewolucja. Nie tylko reakcja feudalna, ale i liberalna burżuazja, dotąd idąca we wspólnym frontie z robotnikiem i chłopem przeciw panowaniu obcego kapitału, przeszła teraz na pozycję wroga. Czang Kai-szek organizuje w Kantonie rząd reakcyjny; ze zdradą średniej i drobnej burżuazji rozpętał się biały terror, partia komunistyczna znalazła się w podziemi.

Oceniając historię Chin Józef Stalin powiedział 1 sierpnia 1927 r.: „Należy przypuszczać, że także i drugi etap rewolucji nie zdoła całkowicie rozwiązać zadania wygnania imperialistów. Wzbury jeszcze bardziej szerokie masy chińskich robotników i chłopów przeciw imperializmowi, ale uczyni to po to, aby przekazać dokonanie dzieła następnemu etapowi rewolucji chińskiej, etapowi radzieckiemu. I dalej: „trzeci etap — rewolucja radziecka, której jeszcze nie ma, ale która nastąpi”.

Tego samego dnia, 1 sierpnia 1927 r., wybuchło w Nanczangu powstanie dwóch korpusów armii w sile 20.000 ludzi. Na ich czele stanął Czu Teh. Powstańcy ruszyli na południe, do prowincji Kwantung — „kolebki rewolucji”. Data tego powstania powszechnie jest uważana za datę narodzin zwycięskiej Chińskiej Ludowej Armii Wyzwoleniczej. W tym roku obchodzono ją szczególnie uroczysto — była to 25-ta rocznica.

Dzieje tej armii to bez mała dzieje rewolucji. Kilka dni zaledwie dzieliło powstanie Czu Taha od niemień słynnego powstania chińskiego, jakie wybuchło w centralnej prowincji Hunan pod wodzą młodego poety i kierownika partii komunistycznej — Mao Tse-tunga. Akcja ta przeszła do historii pod nazwą „Powstania jesiennego urodzaju”. Jego ośrodkiem stała się „pierwsza dywizja armii robotniczo-chłopskiej”. Zima tego samego roku była świadkiem jeszcze jednego historycznego wydarzenia:



GREGORIO LOPEZ RAYMUNDO

List z więzienia

BURZUAZYJNA prasa Zachodu systematycznie i przy każdej okazji powtarza teorię, że obalenie dyktatury Franco jest niewykonalne własnymi siłami narodu hiszpańskiego i wymagałoby interwencji z zewnątrz. Tymczasem raz po raz powtarzają się fakty, świadczące, że Franco zawdzięcza swoje istnienie tylko nieustającej pomocy amerykańskiej bez której nie przetrwałby nawet tygodnia. Wczesną wiosną 1951 przez całą Hiszpanię przewalała się fala strajków i demonstracji. Szeregami ustępstw i pospieszenie udzielona pożyczka dolarowa dyktator ocalił swój chwilecycy się tron. Strajk powszechny

rozpoczął się w Barcelonie, tam też dokonano największych aresztowań. Gdy parę tygodni temu rozpoczął się pierwszy wielki proces — imię „Dwudziestu Siedmiu”, a zwłaszcza ich przywódce znalazło się na ustach opinii całego świata. I znów wstrząsnął krajem głos oburzenia robotników hiszpańskich. Falangistowski sąd ułak się: wyrok — pozbawienie wolności — opiewał na 4 lata więzienia. Faszysta liczył, że 4 lata to dosyć, aby złamać, lub zabić człowieka.

Ze swej celi więziennej przyzywał „Dwudziestu Siedmiu” — Gregorio Lopez Raymundo, zdołał wysłać list do wielkiej rewo-

lucjonistki hiszpańskiej Dolores Ibarruri — La Passionarii. List ten jest wyznaniem wiary całego walczącego narodu.

Droga Dolores!

Korzystam z pierwszej nadarzającej się sposobności, aby Ci przesłać tych kilka słów oraz przekazać gorące pozdrowienia moje i moich dwudziestu sześciu towarzyszy więziennych.

Otoczają nas kraty i głuche mury. Ale przez mury i kraty czujemy poparcie i pomoc ludu pracującego Katalonii i całej Hiszpanii. Docho- dzi nas odgłos wielkiej bitwy o naszą wolność — bitwy, która się toczy i wrze także i poza granicami hiszpańskiej ziemi. Niełatwo opisać, z jakim wzruszeniem, chłoniemy te wyrazy solidarności. Umacniają nas one w naszej wierze w bliski kres frankistowskiego reżimu, w triumf demokracji.

Choć z zewnątrz skąpe tylko dociera- ją do nas wiadomości — trzymamy nas w najściślejszym odosobnieniu — jest dla nas rzeczą jasną, że to wszystko, co czyni się, aby nas uratować, świadczy przede wszystkim o głębi nienawiści narodu hiszpańskiego dla dyktatury Franco i potężnym odgłosie, jaki budzi walka hiszpańskiego narodu wśród najlepszych synów wszystkich krajów świata. Stąd prawdziwym natchnieniem są nam wyrazy miłości i przyjaźni, tak mało właściwie zasłużone. I dlatego postanowiliśmy Ci prosić o oświadczenie w naszym imieniu to- warzyszym i przyjaciółom w Hiszpanii i poza Hiszpanią:

Naprzód! Ruch w obronie „Dwudziestu Siedmiu z Barcelony” (tak nazywa nas lud hiszpański) jeszcze bardziej podważa reżim frankistowski i przybliża dzień wyzwolenia Hiszpanii.

Nasza grupa składa się z robotników, u większości swej aktywności Zjednoczonej Socjalistycznej Partii Katalonii. Nasza jedyna „zbrodnia” polega na tym, że wypełniliśmy nasz obowiązek — komunistów, proletariatu i demokratów. Braliśmy udział w walce, jaką toczy klasa robotnicza i naród hiszpański o obalenie jarzma frankistów.

Ufamy i wtrącono nas do więzienia tylko za to, że w najtrudniejszych warunkach, wegnani przez faszystów w podziemia, broniliśmy interesów ludu Katalonii i całej Hiszpanii, walczyliśmy o chleb, o pokój, o demokrację...

Towarzyszko Dolores! Od wielu lat terrorystyczny aparat Franco w Katalonii z niezwykłą zajądliwością prześladowa komunistów, gdyż nasza partia jest natchnieniem i mózgiem Ruchu Oporu.

Nasze aresztowanie wywołowało przypływ radości wśród władz faszystowskich. Wiedzą bowiem o kierowniczej roli partii w strajkach, jakie odbyły się w lutym, marcu, kwietniu i maju w Barcelonie, w Manreze, w Mataro i innych miastach Katalonii. Teraz postanowiono rozprawić się z nami — przy pomocy terroru chcą sparaliżować walkę ludowych mas, chcą zdławić coraz żywsze uczucia i sympatie wśród ludzi pracy i innych warstw ludności dla idei i polityki, których wcieleniem jest Komunistyczna Partia Hiszpanii i

zdenie zaś człowieczeństwa bohaterów napawało ludność jeszcze większym podziwem.

A później przyszły wielkie kampanie wyzwoleńcze. Armia rewolucyjna wkrocza do Mukden, Pekinu, Nankinu, Szanghaju, Kantonu, uwalnia cały obszar Chin kontynentalnych, przyłącza z powrotem Tybet. A wszędzie, gdziekolwiek przychodzi, bierze udział w tworzeniu nowej, ludowej administracji, bierze udział w uświadamianiu i wychowywaniu ludności. Dziś stoi na straży bezpieczeństwa kraju półtora raza większego obszarem od Stanów Zjednoczonych i blisko czterokrotnie ludniejszego; kraju, gdzie dzięki jej bohaterstwu i ofierze krwi znikł na zawsze wyszysk człowieka. „Wszystko dla ludu, nie dla siebie” — oto naczelne hasło wychowawcze i główne źródło potęgi moralnej tej armii prawdziwie ludowej, prawdziwie demokratycznej. — Armii — współtwórcy narodu

Tadeusz Lisiecki

Zjednoczona Socjalistyczna Partia Katalonii.

Nawet zamknięci w policyjnych kazamatach mamy pełną świadomość, że nadzieje frankistów skazane są na klęskę, niezależnie od tego jaki los nam gotują.

Towarzyszko Dolores! Jesteśmy przekonani do głębi o przewadze sił, które bronią pokój w Hiszpanii i na całej ziemi przed zakusami podżegaczy wojennych. Jesteśmy pewni, że nigdy nasz naród nie zgodzi się walczyć przeciwko Związkom i Rad — nieugiętemu, bojownikowi o pokój, wolność i niepodległość wszystkich narodów.

Wierzymy głęboko, że broniąc pokój, organizując jednolity front przeciw polityce wojny prowadzonej przez Franco i milionów amerykańskich, że opierając się o nieprzebranne siły obozu antyimperialistycznego, któremu przewodzi ZSRR, patriotyczni hiszpańscy uchronili nasz kraj od katastrofy, w jaką chcą wciągnąć go falangiści.

Wyalczymy życie wolne i demokratyczne — naród ma wszystkie po temu prawa!

Towarzyszko Dolores! W więzieniach, przez które wiodła nasza droga, rozmawialiśmy z innymi więźniami antyfrankistami. I upewniliśmy się, że polityka jednolitości narodowej w walce o pokój i ocalenie Hiszpanii, polityka, do której Ty nawołujesz, spotyka się z powszechnym uznaniem u wszystkich, któlekolwiek szczerze walczą przeciwko Franco.

Gorącym poparciem cieszy się głoszona przez naszą partię idea utworzenia szerokiego narodowego frontu demokratycznego i republikańskiego, który obudzi, skupi wokół siebie i pokieruje przeciw reżimowi Franco olbrzymie siły i zasoby energii, kryjące się w tonie mas ludowych Hiszpanii. Uwierzeni antyfrankiści widzą w narodowym froncie republikańskim i demokratycznym najpewniejszą rekojmie swego szybkiego wyzwolenia. I potępią surowo tych przywódców obozu republikańskiego, którzy stwarzają przeszkody w urzeczywistnieniu takiego frontu.

Towarzyszko Dolores, jeszcze raz zwracam się z prośbą do Ciebie w imieniu moich przyjaciół o przekazanie najbliższych podziękowań tym wszystkim którzy w ten, czy inny sposób wyrazili nam swoją życzliwość.

Ze szczególnym uznaniem zwracamy się do narodu radzieckiego i wielkiego Stalina; ludzie radziecy, bez zastrzeżeń stojąc po naszej stronie, wykazali raz jeszcze, że są najwłaściwymi i najbardziej oddanymi przyjaciółmi hiszpańskiego narodu.

Muszę już kończyć. W pierwszych dniach mego zamknięcia, policjanci Franco, nie szczędząc mi razów, aby mi wydrzeć choćby jedno słowo, któreby ułatwiło im nikczemne przesładowanie naszej Zjednoczonej Socjalistycznej Partii, nazwali mnie „sy- nem Passionarii”.

Słowami tymi chciałem mnie dotknąć... Ja zaś doznałem uczucia najwyższej dumy, która pomogła mi w wytrzymaniu tortur.

Możesz być pewną, towarzyszyko Dolores, że aby stać się godnym nazwy Twojego syna, nie ustanie w walce aż do ostatniego tchnienia.

Gregorio Lopez Raymundo

Przekład Ireny Tuwim

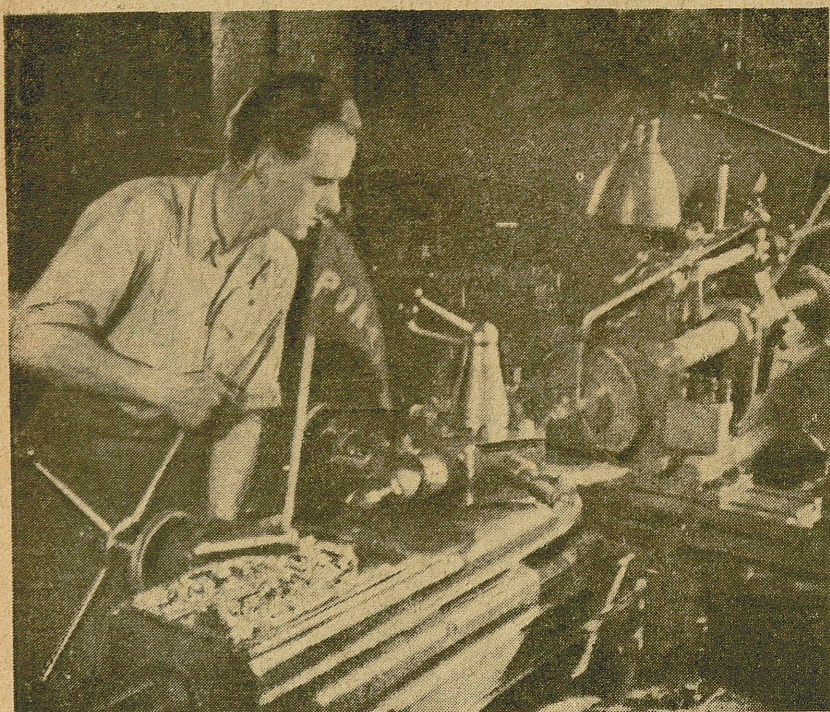


Foto — C. Swirła

ZESTAWMY ze sobą następujące fakty:

W woj. krakowskim, jak wykazuje Narodowy Spis Powszechny, jest 200 tys. gospodarstw o powierzchni poniżej 2 ha, w przeważającej większości bezkonnnych — z tego jeszcze nie licząc odsetek dorabia w przemyśle.

A równocześnie Nowa Huta, największa inwestycja Planu 6-letniego, odczuwa poważne trudności w wykonaniu planu zatrudnienia. Na VII Plenum sekretarz KW w Krakowie zażądał pomocy dla Nowej Huty, żądając dopływu ludzi z innych województw, tak jakby w woj. krakowskim wszelkie możliwości rekrutacji zostały już wyczerpane.

Gdzie leży źródło tej pozornej sprzeczności? I jakie są środki jej rozwiązania? By na pytania te odpowiedzieć, trzeba — obok zbadania warunków pracy w samym przemyśle — sięgnąć konkretnie do gospodarce i politycznej sytuacji rejonów, które stanowią główną bazę sił ludzkich dla Nowej Huty.

Spróbujmy pod tym kątem widzenia pokazać jedną z gmin wiejskich Podhala — Bystrę.

O Bystrze wiemy sporo z korespondencji Ludwika Maję, małego chłopca i działacza; o jej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Cofnijmy się najpierw w przeszłość — wyjaśni nam ona w dużej mierze aktualną problematykę Bystrze.

Jak daleko wstecz potrafi nasz kronikarz sięgnąć — Bystra była zawsze niewyczerpanym rezerwuarem najtańszych sił roboczych — gotowych do każdej pracy.

Bo i policzyć tylko:

Gmina Bystra obejmuje obszar 13.194 ha, z tego pod pługiem 5.338 ha lichej podgórskiej ziemi. Gnieździło się na niej przeszło 10.000 mieszkańców — dwójce ludzi na 1 ha użytków rolnych! A jeśli uwzględnić około 10 proc. gospodarstw „kniejących”, liczących powyżej 10 ha ziemi ornej — co pozostawało dla 90 proc. biedoty?

Oto cyfry, które wołają: wyjdź, konieczność wyjść z Bystrze za pracą i za chlebem! Ale dokąd można było wyjść w kapitalistycznej Polsce? Wszak Krakowskie to jeden z najmniej uprzemysłowionych rejonów Polski: parę kopalni węgla, sól w Wieliczce i Bochni, kilkanaście niewielkich zakładów przemysłowych — i wszystko. Toteż jeszcze za Franca Józefa zamknięto tu szereg cukrowni i ostatnią hutę żelaza, a właściciele wielkich karteli, obarczani i politycy kuliacy ciągnęli dalej tę politykę za „niepodległej” Polski.

Wychodzili więc z Bystrze tylko co odważniejsi — jak Jan Wala, co 15 lat morderwał się gdzieś na Węgrzech, aby ratować rodzinę od śmierci głodowej. Szli też na ciężki zarobek do Łotwy, do Niemiec, kilku wywędrowało szukać szczęścia na ocean. Dla tych, co nie chcieli iść na obczyźnie, przyszłość była wyraźnie określona, czego wynikiem — przełudnienie, karzenie i tak już spolepszonych gospodarstw. W samej tylko Sidzinie, rodzinnej wsi Maję, w przeciągu dziesięciolecia do 410 gospodarstw przybyło z podziału jeszcze 314 nowych — na 2.600 ha ziemi! I co to były za gospodarstwa? Przełudnione, pocięte na kawałeczki, obciążone podatkami i wyrubowanymi przez kartele cenami na artykuły przemysłowe. Stąd też i prymityw gospodarki niemal że naturalnej.

Ale był jeden towar, którym rozporządzało do woli biedniackie Podhale: siła robocza. Tę kupowali za bezcen, poniewierali, nieczyli miejscowi bogacze-gazdowie.

Otóż i macie — jak na dłoni — mechanizm działania kapitalizmu. Zamykając przed biednym chłopstwem Podhala drogę odpływu do miasta, spychając je coraz silniej na pozycję gospodarki naturalnej, rozkładającej się kapitalizmem rozrywał jedną po drugiej wiezi jakie łączyły je z miastem i oddawał na pastwę swemu partnerowi — kulakowi.

Rok 1949 strząsała sztuczna bariera, która odgradzała Podhale od kraju. Parcelacja obszarów majątków, osadnictwo na Ziemiach Zachodnich, odbudowa przejętego przez naród przemysłu — idące na cały kraj wołanie o twardo, ofiarne ręce — otwierały górolom perspektywę niezależnego bytu.

A tymczasem na Ziemię Zachodnie pojechało w pierwszych latach 1950

rodzin, tyle samo mniej więcej poszło i do przemysłu. Potem tempo odpływu zaczęło słabnąć.

— Dlaczego?

Pozostała wprawdzie jeszcze w Bystrze biedota, ale znikł raz na zawsze najsilniejszy bodziec do wychodzenia ze wsi: powolne umieranie z głodu. Górale wrosli w swą lichą ziemię niby kosodrzewina: ani jej nie przesadzisz, ani na miejscu bujniej ci nie wyrośnie.

Toteż szerszym nurtem — do szkół i do przemysłu popłynęła jedynie młodzież — i ona to wniosła do Bystrze zaczyn dalszej przemiany.

„Młodzież ta — opowiada Maj — zaczęła pierwszą targać zaoferowanie i wrogą propagandę na podstawie konkretnych dowodów — lepszych warunków życiowych. Przyjeżdżali młodzi do wiosek rodzinnych, opowiadali o wielkich budowach, o solidarnym wysiłku klasy robotniczej. Ich przyjazdy każdorazowo odrywały z zasiadzenia niezdeterminowanych, a ci ostatni po życiu się z nowym środowiskiem znów ciągnęli innych.

Pasternaki, Czarni, Smetni, Kostki, Ptasznie, Ujczaki, Rysie i inni ukształtowali nowy kierunek odpływu ze wsi. Niejeden z nich jest dzisiaj przodownikiem budownictwa. Oni to pobudzili Bystrę do dyskusji, słowo „socializm” zaczęło być powtarzane z twardą powagą.

Ten proces narastających przemian wzmościło i przyspieszyło oddziaływanie budującej się Nowej Huty. Nie tyle, by budowa przyciągnęła krocie ludności z Bystrze, lecz ludzie ci już nie listownie tylko i nie przy okazji rzadkich bardzo przyjazdów, ale bieżąco, co tydzień, przynosili świeże wieści o wielkiej budowie, rozpętywali dyskusje, wnosiли do Bystrze elementy świadomości proletariackiej. Nowa Huta otwierała perspektywę wielkiej przemiany, dodając otuchy i bodźca do walki o oczyszczenie gruntu pod nową, decydującą zmianą.

Ten bój przygotowawczy stoczył się w Bystrze w r. 1951. W gorącej atmosferze Plebiscytu Pokoju, Narodowej Pożyczki i bitwy o zboże zaktywizowała się i ubojowiła biedota, wycieli z trzaskiem z Rady, spółdzielczości, szeregów partyjnych i ZSL-u zamaskowani mikolajczykowcy: Raczką, Pasternak, Koper, Maciaszek, Buda i inni.

Wzmocniła się i okrzepła partia, pod jej kierownictwem uformował się nowy, szeroki biedniacki aktyw, który rozpoczął myśleć o drogach dzwignięcia Bystrze — już nie w oderwaniu, a w ścisłym związku z przemysłem socjalistycznym.

I oto w roku 1952 — w roku przełomu — dojrzała w świadomości tego aktywu koncepcja gruntownej przebudowy Bystrze.

Plan przebudowy Bystrze, ma na celu przede wszystkim upłynnienie pozostałej rezerwy rąk ludzkich. Obliczają ją w Bystrze jeszcze na 1/3 ludności. Czy Nowa Huta, czy Ziemia Odzyskana — i tu i tam perspektywa marszu naprzód i dostatniego życia. A ci, którzy pozostaną na miejscu?

Oni dopiero teraz będą mogli rozprostować swe kości i przysapć do planowej przebudowy rolnictwa. Jakimi drogami? Przede wszystkim przez rozbudowę bazy paszowej. Na Podhalu zboże rodzi się i nie: żyto sypie najwyżej 8 q z ha, owies niewiele więcej. Gospodarka zbożowa zatem nieopłacalna — o odczyt ludności stanowi hodowla. Jak oczytychcasz — rozwinięta słabo — na 1 ha wypada 48 sztuk bydła — niewiele więcej niż niski wskaźnik ogólnokrajowy. Ale, według obliczeń Maję stan bydła da się podnieść trzykrotnie, a owiec nawet i pięciokrotnie, jeżeli wykorzystane wszystkie istniejące rezerwy paszowe. Gdzież tkwią te rezerwy? I w zmianie płodozmianu — zamiast żyta można siać len, mieszając go z koniczyną, co robi z powodzeniem coraz więcej mieszkańców Bystrze, i w racjonalnym wykorzystaniu hal, zagospodarowaniu poważnej ilości pastwisk które dotąd „uprawiała” jedynie przyrodo.

To są tereny wspólne, gromadzikie — trzeba je też wspólnym wysiłkiem zagospodarować — i oto macie grunt dla zespolowej pracy, punkt wyjścia do spółdzielczości produkcyjnej. Bo też o spółdzielnie wola już sama struktura miejscowego rolnictwa. W Bystrze grunty orne dzielą się na 50.000 pól i paroarowych poletek, a z nimi 50.000 miedzi i brzozi. Przeciętne gospodarstwo składa się z 22 kawałków a sa i takie, które

JAN DANECKI

Z BYSTREJ DO NOWEJ HUTY

mają po 80 rozrzuconych nieraz po parę kilometrów jeden od drugiego. Jakże przy takiej strukturze prowadzić gospodarkę zdrową i opłacalną? Coraz też więcej gospodarzy kalkulują — a wynik wychodzi wciąż jeden: aby zwiększyć wydajność rolnictwa i zaoszczędzić przy tym nakłady pracy — trzeba zjednoczyć wszystkie poletki pod maszynową uprawę, zmniejszyć ilość dojazdów, stosować wielopolowy płodozmian, nastawiony na wielką i wyspecjalizowaną gospodarkę hodowlaną.

Te cztery sprawy: akcja osiedleńcza, odpływ do przemysłu, zespolowe zagospodarowanie pastwisk i — w perspektywie — spółdzielczość produkcyjna spłoty się razem i zespoliły w jeden plan zwarty i nierozdzielny. Plan długofalowy, nielatwy do wykonania — ale czyż to umniejsza jego doniosłą rolę mobilizacyjną i cały zawarty w nim ładunek rewolucyjny?

Jest w tym planie zawarty nowy głęboki patriotyzm regionu, nowe, rzec by się chciało państwowe spojrzenie na losy Podhala: Podhale buduje się i umacnia, wzmacniając socjalistyczną Polskę.

Czyż nie pracuje dla swego Podhala góralski osadnik na Ziemiach Zachodnich likwidując odłogi i walcząc o wysokie plony z hektara? Wszak nawet w ostatnim skupie podhalański powiat Myślenice odprzedał 1.300 ton zboża a już do końca I kwartału br. wchłoniął z powrotem 4.300 ton przetworów mącznych i zboża!

Czyż nie kształtują się losy Podhala na rusztowaniach Nowej Huty — tej gigantycznej fabryki stali — podstawy produkcji traktorów i maszyn, bez których niemożliwy jest dalszy rozwój wsi podkarpackiej?

Koncepcja planu zakłada: nowoczesne, wyspecjalizowane w hodowlę rolnictwo Podhala może się ostać jedynie w jak najściślejszym związku z przemysłem socjalistycznym jako źródłem środków wytwórczych i rynkiem zbytu produktów hodowlanych oraz ze zbożowymi obszarami kraju. To zaś zobowiązuje do wsparcia zarówno przemysłu (wzrostu do Nowej Huty), jak i rolnictwa (akcja osiedleńcza). Zarazem dopiero ten odpływ stanowi niezbędną przesłankę, która otwiera od wewnątrz możliwości dzwignięcia rolnictwa: usuwając raz na zawsze zagrożenie dalszego podziału gospodarstw, przekształcając starą karłowatą strukt-

LESŁAW BARTELSKI

SIEDZIELIŚMY we trzech na żełaznych korytach, zwanych pospolicie muldami, naprzeciw pieców martenowskich, buchających żarem. Marian ze smakiem zjadał chleb z boczkiem, my ze Stefanem gawędziliśmy. W niewielu słowach, skąpych w określenia, wyjaśnił mi mechanizm wsadarki. Patrzyłem na mego rozmówcę, na jego twarz pobrzdącaną jak u chłopów zmarszczkami, rozjaśnioną w życzliwym uśmiechu. Przypatrzywałem się czerniejącemu pudłu maszyn z takim zainteresowaniem jakby ja widział po raz pierwszy, poznał po nim było, że zajmuje go ona mocno. Niezła, niezła — zamruczał tonem pochwały. Wsadarka była produkcyjną i konstrukcyjną polską.

Zwracając się do mnie, dodał, że choć mu tutaj, w Częstochowie dobrze, to jednak tęskni za swoimi — żoną i córką. Spytałem gdzie one są, okazało się, że mieszkają w Dąbrowie Górniczej.

— Bo ja tam pracuję — zaznaczył Stefan. — Na hucie „Bankowej”.

— Myślałem, że wy stąd. Z Rakowa? — zdziwiłem się. Uśmiechnął się na to, nic nie mówiąc i zdjął przybrudzoną czapkę z nałożonymi na wierzch ciemnymi okularami hutniczymi. Przyglądał włosy szeroką dłoń, nadal uśmiechając się w milczeniu. W otworach pieców błyskało płynne żłoto.

— Taka praca to przyjemność — przypochlebiałem mu, wskazując na dzwign. Zgodził się ze mną, choć nity sił na obójność, tłumacząc, że praca ta jak każda inna. Zwrócił ku mnie twarz, w rysach przebiegała pewna godność, ciemne jakby wytopione z rudy oczy śliski blaskiem, odbijały w nich słońce, zawiśle jak jastrosz nad świetlikami hali. Chciał coś powiedzieć, zmarszczył w zastanowieniu czoło, gdy Marian szturchnął go w bok.

— Jedź Stefan. Topowy wola!

Ruchy wsadarki zagłuszyły dalsze słowa. Stefan nakierował maszynę ku wypełnionym muldom i marnując przybliżył ku nim dyszel, Marian zaś umocował koryto ze szpatem i bauskitem, wsadarka zaczęła, zrobiła obrót, dyszel znalazł się w piecu i zginął na chwilę w płomieniach.

Do wszystkiego trzeba dochodzić pomalutku, pracą własną — Marian wycierał dłonie o kombinowane. Był to blondyn średniego wzrostu, raczej drobny i szczupły, o rysach delikatnych, twarzy różowej przypieconej ledwie słońcem, które nie chwyta, złościejąc włosy wystawały kudłami spod czapki, małe baczki czepiały się policzek. Powtórzył: — Uczyc się trzeba, własnym doświadczeniem, żeby tak powiedzieć, trzeba dochodzić do celu. Ja sam, muszę pan wiedzieć, do niedawna pracowałem przy zwózce ru-

re podhalańskiego rolnictwa, pozwalając na zastosowanie nowoczesnej techniki — może dopiero uczynić je wysokotowarowym i opłacalnym.

Oto jest twórcy — konkretny i terenowy — plan umocnienia spójni — perspektywa, jaką dało Podhale socjalistyczne uprzemysłowienie kraju.

Zatrzymajmy się jeszcze na tej części planu, która ma bezpośrednie znaczenie dla rozwiązania problemu kadr dla Nowej Huty.

Czym się różni plan Bystrze od wielu innych znanych nam planów rekrutacji kadr do przemysłu?

Tym przede wszystkim, że sprawa werbunku wpływa tu z pełnego poznania całokształtu warunków życiowych gminy, że stanowi ona jedno ogniwo w nierozdzielnej łań-

dugo będzie istniało to przywiązanie, jak długo będzie tkwiło korzeniami w nieprzemysłowej strukturze podhalańskiego rolnictwa — tak długo odpływ do przemysłu nie będzie odbywał się bez zahamowań i głębokich konfliktów, bez przełamania sprzeczności.

Jest w Bystrze sporo gospodarzy, którzy pracują już w Nowej Hucie, lecz z gospodarstwa jeszcze nie rezygnują, pozostawiając je pod opiekę żony. Odeszli do przemysłu? Tak, ale... w połowie tylko. Bo przecież nierzadko się zdarza, że gdy w sobotę przyjedzie do domu taki chłop i robotnik zarazem, to powraca do Nowej Huty dopiero we wtorek czy środę. Tych ludzi trzyma jeszcze, więzi własny skrawczek ziemi. Oni tkwią w dwóch systemach gospodarczych: z jednej strony już w socjalistycznym

kwalifikacji i o to szczególnie poczucie dumy i współodpowiedzialności za swój zakład pracy, które leży u podstaw powodzenia naszego budownictwa. A tych warunków nie może spełnić do końca człowiek, który jedynie „połową swęj duszy” przywiązany jest do socjalistycznego przemysłu a drugą połową tkwił jeszcze na własnym kawałku ziemi.

Ale, być może, zyskuje na tym rolnictwo? Sprawdźmy. Oto dokonany przez Maję rachunek gospodarza z Bystrze, zatrudnionego w Nowej Hucie. Posiada on 1,30 ha ziemi ornej, pocięte na 29 kawałków, najdalszy o 6 km od domu. Obróbka tej ziemi wymaga 12 dni roboczych konnych, wywóz nawozu 3 dni, obróbka ziemniaków 2 dni, do tego ciężki wkład pracy, gdyż na małym poletku możliwa jest tylko ręczna morderga.

Jakaz więc kalkulacja? Przywozi chłop z Nowej Huty zarobek — a żona musi zeń dużą część zużyć na opłaty zasilę pociągów. Wysiłek i zużytego czasu masa, a wydajność nieproporcjonalnie mała. Któż więc korzysta? Jedynie miejscowy bogacz — on to w głównej mierze rozporządza sprzężem — pole do wzyску pozostaje więc dlań nadal niezamknięte.

Dlatego zatrzymaliśmy się tak szeroko nad przykładem chłopów-robotników z Bystrze?

Dlatego by pokazać, że problem zapewnienia kadr dla socjalistycznego przemysłu nie polega jedynie na zwyczajnym dopływie siły roboczej ze wsi. Idzie tu bowiem o przejście ze starego do nowego systemu organizacji produkcji, o takie przejście, które stworzy człowieka na miarę przemysłu, który buduje, zarazem zaś dźwignie na wyższy poziom rolnictwo, wyzwalając je równocześnie z nadmiaru sił do pracy i kulańskiego wysiłku.

Nie oznacza to, rzecz jasna, aby trzeba było dyskwalifikować w ogóle szeroko rozpowszechnioną u nas praktykę łączenia pracy w przemyśle z posiadaniem własnego gospodarstwa rolnego — jest ona jeszcze niezbędna na naszym etapie rozwoju. Ale trzeba też pamiętać, że jest to dopiero początek drogi, a nie jej koniec. I tam gdzie istnieją na temu warunki — trzeba posunąć się o jeszcze jeden krok naprzód. Tak właśnie stawia sprawę aktyw z Bystrze — łącząc sprawę werbunku ze sprawą przebudowy rolnictwa.

Jan Danecki



Foto — C. Swirła

cuchu przemian, mających dzwignąć Bystrę do socjalizmu. W rozumieniu mieszkańców Bystrze odpływ do Nowej Huty (podobnie jak na Ziemię Zachodnią), jest niezbędnym warunkiem przebudowy miejscowego rolnictwa, zarazem zaś jest ściśle, od pracy nad tą przebudową uzależniony.

Całe dotychczasowe doświadczenie Bystrze wskazuje: głównym źródłem trudności werbunku do przemysłu jest przywiązanie chłopów-górala do własnego skrawczka ziemi. I jak

przemysłu, z drugiej — jeszcze w indywidualnym gospodarstwie chłopskim. Na tym gruncie rozgrywa się konflikt który hamuje w dużym stopniu rozwój zarówno przemysłu, jak i samego rolnictwa.

Nowy socjalistyczny przemysł wymaga dla swego prawidłowego rozwoju nie tylko zwykłej siły roboczej, ale takich kadr, które byłyby zdolne do wypełnienia nowych jakościowo zadań. I nie chodzi tu tylko o dyscyplinę pracy, lecz także o konieczność nieustannego podnoszenia swoich

„ROBOTA JAK TEN MAG

dy. Dopiero od dwu tygodni jestem przy wsadzarce. A przedtem to łopata i popychanie wózka. Parszywa robota, nudna, bez żadnej przyszłości. Widział pan ten kurkik obok? Starą stalownicę? Gdzie tam człowiek mógł się wciągnąć? Nawet starzy, wytapiacze, z praktyką, można powiedzieć odpowiedzialną, szli na inne huty, nie Dąbek? — zwrócił się do starszego robotnika, który w międzyczasie podszedł do nas i przysłuchiwał się temu, co mówił Marian.

pracę wytapiaczy. — Pamiętam — zachęcił Mariana — mów dalej!

— Nic już do mówienia nie ma. Bieda i niedza, chcesz pan wiedzieć, co to było. Czworono nas w domu, jeść dać trzeba, ojciec jeszcze niezdrowy, za wielkim staraniem, bo i matka chodziła prosić, dostał się za stróża nocnego, ale i tak długo nie pociągnął. Sparaliżowało go. Potem, potem, ech, szkoda mówić! — machnął ręką.

Mileciliśmy przez chwilę. Stefan ustawił wsadarkę na dawnym miej-

Dawniej to inaczej było, wiesz? — zapytał Mariana wprost. — Dziś robotę do ręki dają, proszą się abyś przyszedł. A dawniej co człowiek dzień przepracował, to dwa odpoczywał. Kapitalista uważał, aby się nikt nie spracał. Tak i nasza huta zamierała, podobno nie opłacała się już. Zadowolony tu inwestycji nie robiono, właścicielom na zakładach nie zależało, tylko tyle, by wycisnąć resztę, co się da. Ja sam wyniosłem się już przed wojną do Stalowej Woli, tam ludzi potrzebowali. A tutaj? O ludzi nie dbali, mało to ich było? — powiedział bez gorzkości, jakby uważał to za coś zwyczajnego...

— Aleś pan tu powrócił — powiedział Marian. — Pamiętam pana, jeszcze z pierwszych lat wojny, nim mnie do Rzeszy na roboty nie wywieźli?

— Wrócić wróciłem, bo i gdzie było przyjść jak nie do swoich. Wojna przecież wybuchła, to człowiek na stare śmiecie powrócił. Wtedy i huta ruszyła, hitlerowcy wszystkich według spisu do roboty zagonili, potrzebowali żelaza i stali, ganiłi to oni robotników, a u nas, trzeba wiedzieć, ciągle się coś psuło. To oni na nas z kolbami i krzykami: „Ach, wy verfluchte! — wreszcie! — Robić się wam nie chce? Do Oświęcimia stąd niedaleko. Auschwitz, verstehts du?” Zaciskaliśmy zęby, czekaliśmy swojej chwili. Na murach huty ktoś nocą rysował kredą duże żółwie. U nas, na Rakowie, była komórka, partyna znaczy się, prasa szła między nas, ludzi nowych do roboty werbowaliśmy. Nawet sztandar użytkowaliśmy, czerwony sztandar. I przyszedł ten dzień, człowieku, jak dziś pamiętam, armaty grały, czoił szły a my od pieców nie odstępowałyśmy, niech pierwszy spust będzie dla Polski! Nie udało się, bo elektrownia stanęła...

Pamiętałem dobrze te chwile, pracowałem wtedy w jednej z fabryk włókienniczych, na „Stradomiu”. Hitlerowcy uszkodzili elektrownię, jak się wycofywali, broniąc miasta, krótko wprawdzie, Rosjanie wbiłi się bo wiem pancernym kłinem między Niemców i dywizję. Wyswobodzona Częstochowa przeżywała radosne dni, ludzie płakali ze wzruszenia gdy słyszeli: „Jeszcze Polska!” Na wielki wiec, pierwszy powojenny wiec, na którym przemawiał w imieniu Rządu plk. Ochab, hutnicy z Rakowa przybyli gromadnie i ze sztandarami, czerwono u nich było od sztandarów ponad głowami. A kiedy wybrano pierwszego prezydenta miasta, został nim hutnik z Rakowa, Langner. Powiedziałem o tym Dąbkowi, ucieszył się. Spojrzał na mnie łaskawie. — Ze szmelcerzy on — powiedział o Langnerze. — A wiecie, co to znaczy? Jak to? Rosjanie przyszli, to jeden powiedział do mnie po rusku: „Daj, choć popatrzyć, bracie, na pieca, ja z nich szmelcerzy!” Coście na „Stradomiu” robili? — zwrócił się do mnie z pytaniem.

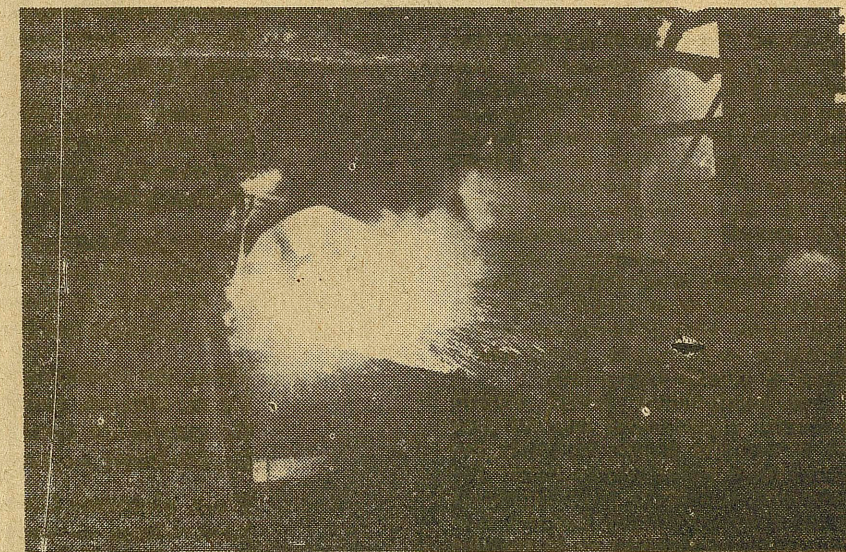


Foto — WAF

— Co racja, to racja — zgodził się zapytany.

— Co tak pan kiwasz głową — zniecierpliwiał się Marian. — Może tak nie było? I mój stary był tu wytapiaczem, bo to u nas zawód przechodzi z ojca na syna. A stary u Hantego pracował od początku, jeszcze hutę stawał, potem przyjechał się i do pieców poszedł. Napróżd jako pomoc, potem na pierwszego wytapiacza. Mieszkał w Kamienicy Polskiej, codziennie drałował te parę kilometrów, skwar czy zawieja, wszystko jedno, dopiero później przeniósł się na Raków. — Marian wskazał ręką na mury nowej stalowni, zastaniające przyfabryczne osiedle. Tu się urodziłem, w 1920 roku...

Przerwał. Skrecał papierosa. Spytałem go, ponaglaając. — No, a co dalej?

— Wiele do opowiedzenia nie ma. Tyle, że jak miałem trzy albo cztery lata — zaczął mechanicznie — nastąpił wybuch w piecu. Znalazi się między żelastwem pocisk artyleryjski, sortownicę nie wyłapał, dostał się do pieca i eksplodował. Mojemu ojcu nogę urwało, twarz pocięło, myśliśz posnę, że jakies odskokowanie otrzymał. Figa, można powiedzieć...

Dąbek pokiwiał ze zrozumieniem głową. Stał wsparty o filar i śledził

scu, wysiadł z kosza i podszedł do nas.

— O, towarzysz Dąbek — przywitał się z przybyłym. — Do nas?

— Do was i nie do was. Chodzę i patrzę jak z tym współzawodnictwem. Kiedy ruszyć będziecie mogli na pełną parę? Bo mnie się śpieszy. — Coś taki przedki, Dąbek — osadził go Marian. — Piec nie człowiek, jego pogonici nie można. Swoje się wypalić musi i wygrzać.

— Z tobą nie mówię, boś naprzeciwko mnie szczeniaki. Na robotę swoją patrz — uniósł się gniewem Dąbek, ale był to gniew udany, nieszczerzy. Oczy mu się śmiały. — Wy, to aby robotę odwalicie — narzekał. — Bez sumienia. A potem wypadek, plac i zgrzytanie zębów. A we wszystkim, w każdej najmniejszej robocie odpowiedniego starania trzeba.

Wtrąciłem się przerywając mu. — A wy gdzie pracujecie?

— W Radzie Zakładowej.

— Ech, tam taka praca — mruknął Marian. Chciał dokuczyć Dąbkowi. Ten popatrzał na niego i odowiedział. — Ale ze szmelcerzy jestem, wiesz. Z ojca na syna, trzeba wiedzieć. Nie od dziś, jak inni — splunął pod nogi Marianowi, który uśmiechnął się nieco krzywo, —

SYLWESTER BANAS

ZWYCIEŻA MASZYNA

S KORO świt rozjechały się traktory do swoich miejsc pracy. W POM-ie został tylko jeden. Miał on być użyty wraz z nowo-przywiezioną snopowiązałką na polach w okolicy Jasienca. Miał kosić żyto u Stefaniaków. Długo stary nie chciał zgodzić się, by u niego pierwszą pracowała maszyna. Wykrecał się jak mógł, ale wreszcie ustąpił ni mając już argumentów, by opierać się dalej.

— Jakżeż to! Jesteście sekretarzami i musicie dać przykład — nacierali na niego Gruda i Cieślak.

Stefaniak rad był skosić maszyną, bo już do kosy nie miał siły, ale bał się gadania ludzi i wrzędzenia

— I nie posłuchałeś ludzi, i wziąłeś se to-to na pole. Zobaczysz, Bóg nas pokara! Idź, wypędź ich!

— Cicho bądź! — wrzasnął rozżalony do ostatka. Wyrwał się gniewnie i, zapomniawszy nawet wziąć ezapki, pobiegł błyszcząc łysiną w kierunku pola.

Jasienscy chłopcy wyszli również. Z kosami stali przy swoich zagonach spoglądając ze złością a zarazem ciekawie w stronę krzającących się przy maszynie ludzi.

— Gotowe — zawołał Cieślak nastawiając stół na odpowiednią wysokość.

Szczelknęła sztanga ścinając z jazułem słomę. Powoli obracał się wiatrak, jakby z pieszczotą nacy-

wyciągał z daleka szyje, ale nie podchodzili. Tylko dzieci, choć jeszcze bojaźliwie, przybliżały się stopniowo.

— Dobrze idzie! — powiedział Cieślak przypalając papierosa.

— A dobrze — z zadowoleniem przytaknął dyrektor przyglądając się sprawnej pracy maszyny.

Trrr... — zaskrzeczało niemile i nie związane zboże zaczęło mierzwić się za maszyną. Traktorzysta zahamował.

— Co jej jest? — zająknął Cieślak — aha, sztanga zawadza o palec.

Kilkanaście nuknięć młotkiem i palec (bagnety) zostały uregulowa-

znów ruszył traktor i znów musiał się zatrzymać: zacięły się płotna.

Cieślak, zły i czerwony ze wstydu poprawiał ciągle coś nowego. Nim traktor objechał pole dookoła, było z dziesięć postojów i minęło trzy godziny.

Ze wszystkich pól zesził się chłopi i ostentacyjnie łazili po ściernisku, trącąc nogami zmierzwiłone zboże.

— Ale kosi, jakby pies zębami wyrwał! Szkoda zboża, marnuje się.

— Oj, nie będzie Stefaniak jadał chleba w tym roku, jak mu się zachciało cudów. Szkoda chłopu — litowali się obłudnie, radzi, że mogą dogryźć.

— O, patrz! — nawet słomy nie zetrnie, ino zmierzwi i ziarno wytrzęsie — zatrzymali się kupą w tym miejscu, gdzie zacięła się sztanga i pas zboża długości trzech metrów został zszarpany.

— Tak wygląda robota w kołchozie — wskazywał palcem Stecki.

Taka maszyna to dobra ino na propagandę, jak stoi na podwórzu — przemądrzale kiwali głowami chłopcy.

— Eee, bo teraz wszystko do niczego za tych tam komunistów — dodał ciszej Styga.

Sluchali tych przycinków traktorysta i Cieślak. Dyrektor tylko wargi zagryzał.

— Zabierzcie tę maszynę do POM-u, nie nadaje się! Trzeba zrobić główny przegląd — rozkazał.

— Dobra, założę ino koło transportowe — mruknął Cieślak patrząc w ziemię, by nie widzieć ironicznych min chłopów.

Stefaniak drapał się z zakłopotaniem w łysą głowę.

Do Cieślaka podszedł Zielonka:

— No! może będziemy się ścięgać! — wykrzywił głowę w uśmiechu, pokazując spróchniałe zęby.

Wyła wasza maszyna, a ja kosa. Już nie bądźta mądrzejsze od wszystkich i Pana Boga i rzucić te wymysły!

— Odejdź — warknął Cieślak mocując się z kołem. — Odejdź głupioku, powiadam ci...

— Skoczta który po Stefaniakowa! Niech zobaczy, co jej stary wymądrował — powiedział Stecki.

Sypnął się z ochotą na przejażdżkę przez kartofle Styga.

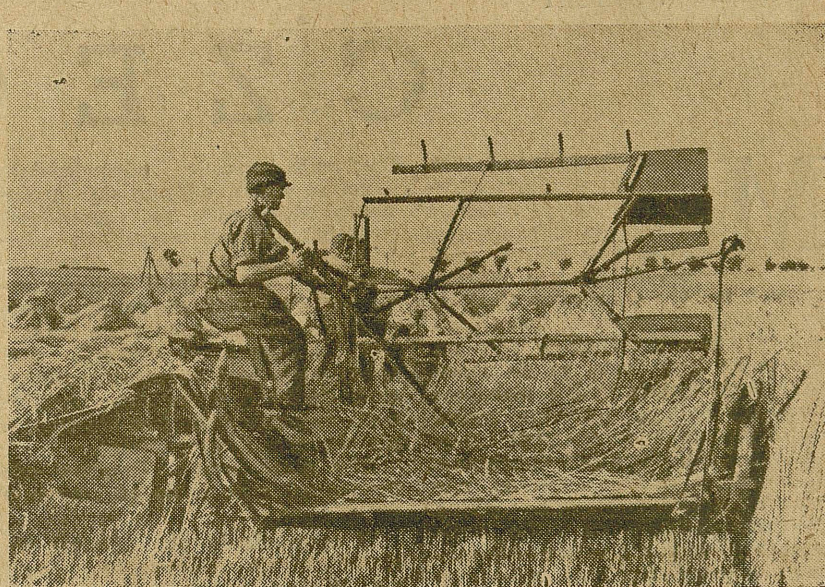


Foto — CAF

Dobiegała Stefaniakowa zalamując ręce nad głową.

— A idźtaż wy z pola z tymi traktorami! Nie róbita znisty — podniosła głos wyrażając chudą pięścią.

— Zbierzmy się, chłopie, pojutrze, pomożemy Stefaniakom skosić — radził życzliwie Stecki. — Dlatego, że stary zgłupiał i dał się im otumanić, to rodzina ma być bez chleba?

— Dobra — skosimy ci, Stefaniak, pojutrze — zgodzili się chętnie chłopcy.

— A niech wam Bóg zapłaci, kochane sąsiady — dziękowała z wyłanianiem Stefaniakowa.

— Ino z tymi zerwijta — wskazał Stecki palcem na oddalający się traktor.

— Chodź do domu i podziękuj dobrym ludziom, że nie patrzą na twoją głupotę — szturchnęła w bok starego Stefaniakowa.

Stefaniak stał z opuszczoną głową dławiąc się upokorzeniem.

*

— Bić mnie po łbie i to bić za głupotę — kłął sam na siebie Cieślak rozbiegając snopowiązałkę.

Zamiast wstać przed świtem, przejechał ją przed wypuszczeniem na pole, to ja się wyłogiwałem do piątej, a teraz taki wstyd! — narzekał dokracając z pasją słaby.

— Bo kto by się spodziewał! — wtrącił traktorzysta. — Wyglądała jak nowa, a zresztą kiedy mieliście przejechać, jak przyjechałem z nią o 4-tej rano?

— Ha, nie dziwnego, że nie kosiła. Patrzcie, dyrektorze, jakie zarzewiały części i zdarte. Pomalowano tylko grubo świeżą farbą.

— A zapewniali, że jest po generalnym remoncie! Dławił taką maszyną nam wetknęli w same żniwa — zdenerwował się dyrektor.

— Ale żeby nie wiem co, to musimy tą maszyną skosić żyto Stefaniaka i skosimy — postanowili twardo Cieślak, biorąc się z zapalem do roboty.

Daremnie przychodził Piotruś, wzywając ojca na obiad, a potem samą Cieślakowa. Nie odszedł. Zjadł na przedce, na stojąco, i znów majstrował. Zapadł wieczór, Cieślak przyniósł sobie do domu natową latarkę i przy tym nędznym świetle niezmordowanie pracował dalej. Świat zastał go na nogach.

— Cieślak, Cieślak, idźcie spać — namawiał go dyrektor.

— Nie, nie pójdę — uparł się. — Musimy im pokazać, że ta maszyna to nie kosa i przekonać ich, bo widzi dyrektor, co się tam na tym polu robi.

A na pole to zbliższa i zdalsza, po jednym i po kilku zachodził chłopcy. Znajomych jadących drogą zatrzymywał Styga, by „coś” obejrzel. A na polu Stecki udzielał informacji:

— To tak koszą te... snopowiązałki traktorami — podkreślał. — Tak będzie wyglądać na wszystkich polach, jak założą kołchozy. Marnowanie zboża i tyła, a naród będzie z głodu zdychał.

— Oj, potrzebne te wymysły, potrzebne — kiwali głowami chłopcy, biorąc do ręki „na pokazanie” parę żdźbieł z wytrąsniętym ziarnem. — Niechta i inne zobacz, co nie miały tu czasu przysię.

Na polu rzeczywiście nędznie wyglądało. Mimo że traktor tylko raz objechał dokoła i skosił pas szerokości na półtora metra, na całej przestrzeni — długości może stu metrów — na le zmierzwiłone słomy leżało osiem snopczków, jak w karczynie spite chłopy. W kłosach gdzieś tam tkwiło ziarenko żyta. Nawet pas nieskoszonego zboża również był zmierzwiłony. Dziwił się sam Stefaniak przysiadając z rana na pole.

— Wczoraj wydawało mi się, że w kłosach były ziarna, i słoma nie wyglądała tak zmierzwiłona.

— Tak wam się wydawało, boście byli zaślepieni — uśmiechnął się pod wąsem Stecki. — Wy, stary chłopi, i dalsie się tak byle komu nabrabi.

— A już ci — zgodził się niezdyscyplinowany Stefaniak.

Znów skończył się dzień, a Cieślak wciąż pracował.

— Skąd w nim tyle wytrzymałości? — dziwił się dyrektor usiłując skłonić go do choćby godzinnego spoczynku.

— Niech mi dyrektor da spokój! Robiłem na dziedzińcu piętnaście lat i dorobiłem się ino odcisków, to zdaje się, mam prawo popracować kilkadziesiąt godzin bez przerwy dla Polski Ludowej...

Już gwiazdy zaczynały blednąć, gdy Cieślak pokręcił ostatni raz kluczem. Zażył sznurek, szarpnął dobrze — ucieło — związało. Jeszcze jeden raz — to samo, trzyma.

Wyprostował się: — Uf, bolą gnaty... — mruknął do siebie. — Zapalał traktor! — zwrócił się do traktorzysty.

— Czego? — wybaluszył ten ozy. — M-szyna gotowa. Robiłem całą noc, trza iść spać.

— Ja ci pójdę spać — prawie że krzyknął Cieślak. — A zapomniawsze, że dzisiaj przyjdą skosić chłopcy Stefaniakowi?

— Aha — domyślił się traktorzysta — uprzedzimy ich, to fajnie! Jedziemy! A dobrze, że rosa dziś nie spada, plachty by nie ciągnęły — dodał macając ręką po trawie.

*

Znad Wisły błysnęły pierwsze promienie słoneczne i zalały się w szklach reflektorów „Zetora”, robiącego ostatnie okrążenie. W tej chwili od drogi ukazało się kilku chłopów z kosami na ramieniu. Na przedzie szedł Stefaniak ze Steckim, za nim — rozprawiając z ożywieniem — Przygodzki i paru innych. Zobaczywszy traktor na polu, przyspieszyli kroku.

— Co u licha! Śni się czy co? — mruknął Stecki tracąc ozy.

Tam, gdzie wczoraj jeszcze stał łan żyta, chwiał się w podmuchach przedwieczornego wiatru, leżały teraz w równych rzędach snopy, sterczało czystutkie ściernisko. Nie walało się ani żdźbło słomy, nie potrzebna było nawet zagrabować.

Przetarli Stecki jeszcze raz ozy, uszczypnął się:

— Nie śpię przecie, a jednak tak wygląda, dwa i pół hektara żyta skoszone, związane! Kiedy?!

— Witajcie! Witajcie! — machał wasoło czapki Cieślak. — Przysłicie ustawiać w kopy, no to dobrze, układajcie. Ino, że kosami trochę nieporęcznie, snopki porozcinata — zadzwili mszcząc się za przedwczorajsze.

Przygodzki krył się nieznacznie za plecami innych. Dojrzał go jednak Cieślak:

— Czesław, Czesław, toś i ty przyszedł z kosa? Pewno skosili swoje pole pod snopowiązałkę.

— Tak — mruknął zmieszany Przygodzki.

— No, to jazda, szkoda czasu! Koś!

Nim się zdążył rozmyślić, już maszyna uwiłaziła się przy jego działce, sprawnie odrzucając snopy.

— O jej, da mi teściowa, da! — Przecie wczoraj wieczorem był u rich Stecki i mocno zawstydził Przygodzkiego, że tak do tego POM-u przystał, jak rzep do psiego ogona. Przykreć więc, że nigdy już nie pójdzie do nich. Tym bardziej, że i ksiądz w niedzielę był tu zakładając kółko różańcowe i dawał do zrozumienia, że nie dobrze będzie z tymi, co to „wiarę” ojców zaniebują oglądając się na cudze bogi”. Kazała mu dzisiaj teściowa iść kosić z wszystkimi do Stefaniaka, na pokutę. A potem mieli kosić u niego, aby nie wpuścić tych diabelskich maszyn, co to...

„E, dziej się, co chce” — pomyślał z rezygnacją i wulił głowę w ramiona widząc zbliżającą się teściową.

— Ale macie zięcioszka, tfu — splunął Stecki wychodząc naprzeciw teściowej. — Jak kurek na dachu kościelnym. Dopiero wczoraj miał mówione, a dziś, patrzcie, wziął sobie snopowiązałkę.

Starą zaparło z wrażeń, nie mogła złapać oddechu. Bezwiednie schyliła się i wzięła w rękę snopkę. Targnęła nim silnie ze złością, raz i drugi — mocno związane, nie rozdzieliła się.

— Zjeżdżaj z pola, psie nasienie — wydarła się do traktorzysty. — Nikt cię tu, gówniarzu nie prosił.

— Ee, ciotko, ciotko, lżej powiedzcie: „Szczęść Boże” i snopki ustawiajcie — uśmiechnął się traktorzysta dodając gazu.

Wzięła teściowa jeden snopkę w rękę, wzięła drugi. Siłą nawyku przyłożyła do siebie — stoją. Obejrzała się. Opodał Przygodzki gapił się na nią z zakłopotaniem.

— Ruszcie się, co myślisz, że sama na stare lata będę harowała! Podawaj snopki, draniu jeden, nie będzie ziarno walać się po ziemi. Kiej już skoszone, to niechta!

Spojrzał zdumiony Stecki, puknął się palcem w czoło.

— Nic nie rozumie, chodźta chłopcy do domu.

Sylwester Banas

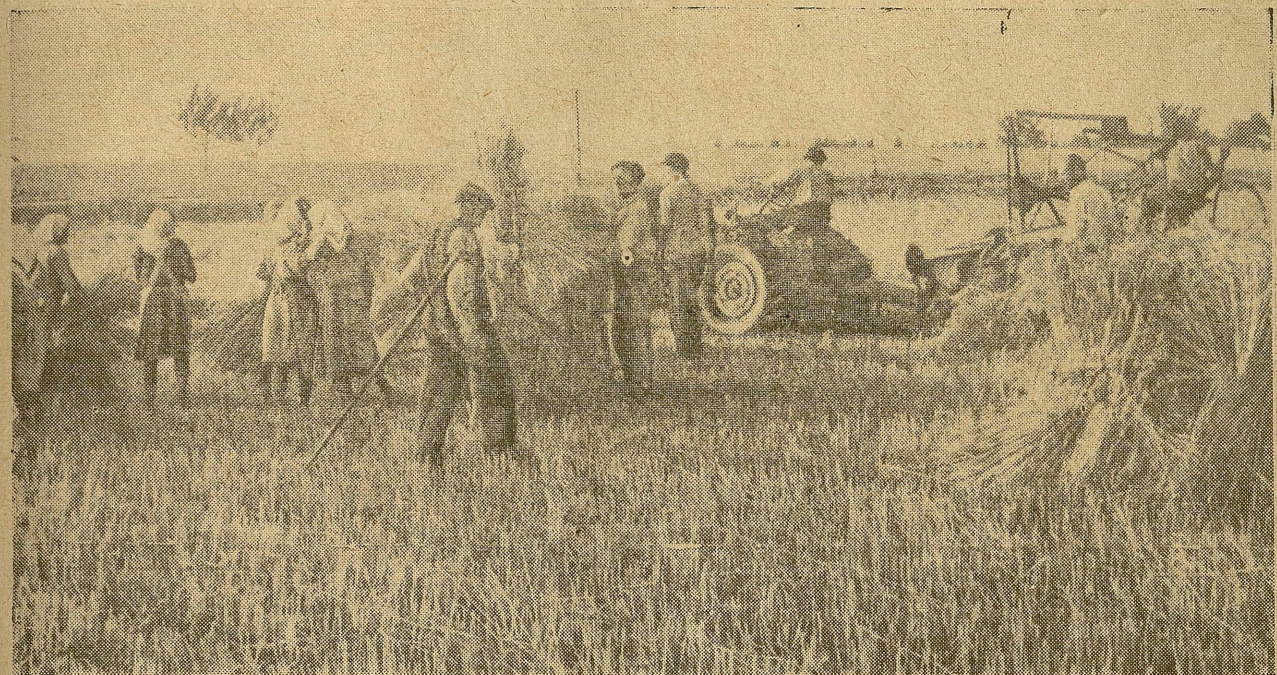


Foto — CAF

żony. Zawsze to pierwszy, niechby tak już lepiej kto inny był. Wreszcie machnął ręką:

— Kosta i tak mi leć urw...

Błyszcząc czerwonym lakierem ruszyła snopowiązałka w pole. Zza węgla chaty wyglądała teściowa Przygodzkiego, żegnając się raz po raz i spluwając ze zgroza. Zapłakana Stefaniakowa przytrzymała starego za rękaw:

lając w stronę płócien ciężkie, pełne kłosa. Bezszelestnie sunęły płotna, podając sięte zboże na górę, do ubijaczy. Nazbierała się już tego rzygarść zboża. Złienacka, jak gdyby podstępnie, wychynęła od spodu iglica opasując zboże sznurkiem. Ciachnął nożyk. Fajt — obrócił się widelki i średniej wielkości snopkę odpadł na bok. Za parę sekund drugi i trzeci. Chłopi

ne. Znowu sprawnie odpadły dwa snopki...

— Stój, stój! — zatrzymał Cieślak traktorzystę. Widelki znowu wypychały niezwiązaną słomę. Nachylił się z traktorystą nad suplaczem.

— Zgaś motor, nożyk do niczego.

Wymiana nożyka zajęła z pół godziny. Zaintrygowani chłopcy zbliżali się pomalutku.

NES, CO ZŁOM SORTUJE...“

— Po powstaniu mnie przygarneli, bo ja właściwie z Warszawy jestem — chciałem dalej mówić, ale podszedł jeden z wytopaczy i przywitał się z Dąbkim. — Jak ci idzie? — dopytywał się były szmelcerz. — Pieć kiedy nagrzejesz?

— Nie gorączkuj się, Julian, na czas będzie, znasz mnie chyba? Maniek, szpięgu trzeba — zwrócił się do mechanika. — Jedź pan ze mną — zaprosił mnie Marian. Nie dałem so-



Foto — WAF

bie drugi raz powtórzyć, wsiadłem za nim do kosza, maszyna ruszyła, Stefan zaklinował mułę i ruszyliśmy pod piec. Marian manewrował ostrożnie, widać, że bez większej wprawy.

— Dopiero Stefan uczy mnie jak kierować — usprawiedliwiał się. Szarpnął za rączkę, wsadzarka zaczęła się cofać, dyszel wylaniać z żaru. Marian pokręcił korbą i maszyna zwróciła się bokiem ku Martenowi. Jeszcze parę ruchów i stanęliśmy.

— Zupełnie dobrze — pochwalił Stefan. Marianowi dziko błysnęły ozy, odpowiedział zaczepnie. — Pewnie, że dobrze. Nie z hutników jestem?

Stefan wzruszył ramionami, odchodził. Marian dorzucił, biorąc mnie na świadka. — Majster się znalazł, od pluga przyszedł i rady dawać będzie!

Stefan odwrócił się, przybladł na twarzy, wargi wykrzywił w złości. Nie widziałem go do tej pory takim jeszcze, zacinał dlonie w pięści i powiedział. — Ty, Marian, nie mi nie wymawiaj. I bądź wdzięczny, że się czegoś nauczysz. Ja taki sam hutnik albo i lepszy. Dwa tygodnie temu rudę woziliś, a dziś pania chceś żegnawać? Fachowiec wielki! Idź i sam pojedź, pojedź jeszcze raz, rącz-

ki ci drżą jak panience co chłopca pierwszy raz widzi — sztydził, wołając na cały głos. Dąbek uspokajał go. — Co on myśli, że mnie tak łatwo przyszło jak jemu. A ile przeszedłem, nim hutnikiem zostałem? Pewnie, z chłopów jestem, żaden to wstyd. Cóżżeś myślał, z gospodarzy. U nas życie wprawdzie niewiele, gąb więcej, ale zawsze gospodarski syn...

Marian roześmiał się, poklepał go po ramieniu i gniew Stefanowi przeszedł. — Bo my zawsze tak — powiedział Marian tonem wyjaśnienia — dogryzamy sobie. — Aby się człowiek nie nudził.

— No, chłopcy starajcie się — Dąbek pojechał się i odszedł. Stefan ochłonął i odpowiedział poważnie Marianowi.

— Ze mną ty, bracie nie zaczynaj. Bo nie lubię, po prawdzie mówiąc. Jeszcze ci krzywdę jaką zrobię i co? — popatrzył na swoje szerokie dlonie. — Myślisz, że jak ci ojców na rudzie zrobił, to już wszystko? Nie, bracie, fach najważniejszy, umiejtność!

Marian łagodził. — Lepiejbyś coś opowiedział. Napewno towarzyszy byliby zadowolony, gdybyś mu opowiedział o swoim życiu. — Marian wskazywał na mnie, mrugając filuternie oczyma, jakbym ja był przyczyną kłótni.

— Co tam do opowiadania. Ot, zwyczajne życie — zastrzegł się Stefan. — Nic ciekawego dla szanownego pana.

Aby go wciągnąć w rozmowę rzuciłem niby od niechcenia. — Widział pan, sianokosy? Byłem niedawno na skraju hut, tam łaki kosza.

Wziął go. Skinał głową potakująco. — Raniutko, trzeba wiedzieć, przed zmianą tam poszedłem. Aby trawie się przyjrzyć, czy pod kosa zdadna — przyznał się. — Bo wiesz pan, przed świętym Janem uprzątnąć muszą. Ale u nas, w rzeszowskim, to łaki lepsze. Tu ziemia lichesza.

Powoli rozgadał się. Pochodził spod Jasła, jak tylko dorósł, podnajmował się, gdzie się tylko dało. Potem wywodził go w czasie wojny na roboty do Rzeszy, nie miał się ojców czym sołtysoვნy opłacić.

— I trafił pan tam do hut? — spytałem, zadowolony ze swej przenikliwości. Popatrzał na mnie nieco urażony, że przerywam mu tok myśli i zwolna odrzekł jakby coś sobie przypominając. — Nie, Pracowałem u bauera. Na roli.

Było to na północy, pod Hamburgiem, gospodarka była duża, nawet synowie Niemca, którzy służyli w artylerii przeciwlotniczej przyjeżdżali do domu pomagać przy żniwach. Tam też Stefan poznał dziewczynę, z Dąbrowy Górniczej była, ładowniczka z hut, Jadzia jej na imię. Chodzili ze sobą, pobrali się jak tylko się wojna zakończyła, dziecko przyszedł na świat i kiedy powrócił do

kraju w 1946 roku, zajęchali do Dąbrowy. Teściowa Stefana miała tam mieszkankę, zamieszkała razem i Stefan poszedł do pracy w hutę. Zonę powiedziała: „Znajomości mam, u nas będzieś pracował”. Nie nie odpowiedział, choć gryzła go tęsknota za ziemią. Ale nie mówił jej nie, dobra dziewczyna była, a przy tym żona słubna. Przez jesień i zimę przepracował przy złomie, wytrzymywał jakoś, rodzice pisali, że im po wojnie nienajgorzej, wszyscy wychodzili z domu, możeby on powrócił? Ziemi mieli więcej, bo i z reformy trochę dostali, konia się ojców dorobił, więc inna gospodarka szła. Chciał pojechać, ale z drugiej strony robota go trzymała, dnia szkoda było opuścić. Przyszłed czerwiec, sianokosy. „Pytales pan — zwrócił się do mnie — czym widział jak tutaj na łacie pod hutą koszą? Ja w Dąbrowie wieczorami wychodziłem na dalekie spacer z moją małą, aby tylko zobaczyć czy już koszą i odeschnąć zapachem pól. A dziecko to brałem, żeby się z mną nie śmiał, że niby na spacer z nią idę” — dodał nieco cichszym głosem. W żniwa

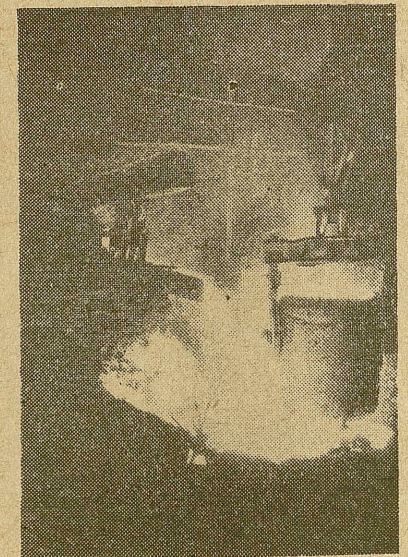


Foto — WAF

nie wytrzymał, rzucił wszystko, pojechał do rodziców. Zonę powiedział, że matka zachorowała i jeszcze tam jej jakiś różności naopowiadał, aby mu dała przyzwolenie. Odejeżdżając, widział w jej oczach żal, ale nie odmawiała go. Zapomniał o tym wszystkim, kiedy chwycił za kosa. Poczuł się innym człowiekiem.

„Można żyć — myślał — nie to co przed wojną, gdzie człowiek wycierał się po cudzych kątach”. Po paru dniach powróciła myśl o żonie. Wiedział, że da sobie radę, o to nie miał obawy, z teściową mogła zostawić małą, a ludzi do pracy w hutę potrzebowało. Jednak te myśli o pracy, o kolegach zaczęły każdego dnia powracać z coraz większą siłą. Na sercu legł mu ciężar, nie wiedział na

Lesław Bartelski

Fragment większej całości

ADNRZEJ WALICKI

C Z E C H O W Ż Y W Y

MOŻNA zaryzykować tezę, iż spośród wielkich twórców rosyjskiego realizmu krytycznego Czechow jest najmniej w Polsce znanym. Wszystkie dotychczasowe wybory opowiadań Czechowa, począwszy od tych, które ukazywały się w przekładach polskich jeszcze za jego życia, aż do ostatnich, popularnych wydań powojennych, nie dają nam obrazu twórczości pisarza z okresu jego dojrzałości. Znalazimy dotąd Czechowa-humorystę, Czechowa-satyryka, mistrza literackiej miniaturki, szkicu satyrycznego, felietonu. Nie znamy do niedawna Czechowa-dramaturga — uprzestępnienie polskiemu czytelnikowi przez PIW całokształtu dojrzałej dramaturgii Czechowa jest sprawą zaledwie ostatniego roku. Natomiast Czechow-nowelista, mistrz małej i średniej formy literackiej, Czechow nie mający nic wspólnego z ustularem o nim pojęciu humorysty, stanowi wciąż jeszcze dla nas pozycję nieznaną. Dlatego też ważnym wydarzeniem bibliograficznym jest ukazanie się przekładu książki Jermilowa *) —

— która chociaż pośrednio zaznacza polskiego czytelnika z tą twórczością, stanowi przecież jądro owego wielkiego wkładu, jaki wniósł Czechow do literatury światowej.

Od roku 1885 — pisze Jermilow — zaczął Czechow drukować dojrzałe opowiadania nowego typu. Różniły się od dawnych tym, że humor i satyra nie grały w nich głównej roli. Do „czystej” satyry i „czystego” humoru, począwszy od roku 1887—88, powraca Czechow bardzo rzadko. Humor w jego utworach zaczyna grać nową rolę i albo jeszcze bardziej wzmacnia, uwydatnia, albo przeciwnie — mądrzym, jasnym uśmiechem „zagodzi” tragedię. Czechow, rozpoczynając okres meczających poszukiwań ideologicznych i uprzedczych, postępującego wciąż naprzód światopoglądowego i artystycznego rozwoju. Analiza jego twórczości w związku z rozwojem jego światopoglądu, przełamanie burzawnej legendy o Czechowie jako pisarzu rzekomo bezideowym i apolitycznym, to główna zaleta i nowatorstwo książki Jermilowa. Na podstawie danych biograficznych, urwków korespondencji i, przede wszystkim, wnikliwej analizy utworów, pokazuje Jermilow jak narastało w

*) W. Jermilow — Czechow, 1860—1904, P. I. W. 1952.

Czechowie poczucie odpowiedzialności za słowo, dążenie do znalezienia odpowiedzi na „przekleśne” pytania „dręczące wszystkich wielkich pisarzy rosyjskich, a sformułowane w tytule książki Czernyszewskiego: Co robić? Nie znajdując odpowiedzi na to zagadnienie przeżywał Czechow okres depresji, niewiary we własną twórczość, zniechęcenia do życia, które „bez określonego światopoglądu jest nie życiem ale ciężarem i okropnością”.

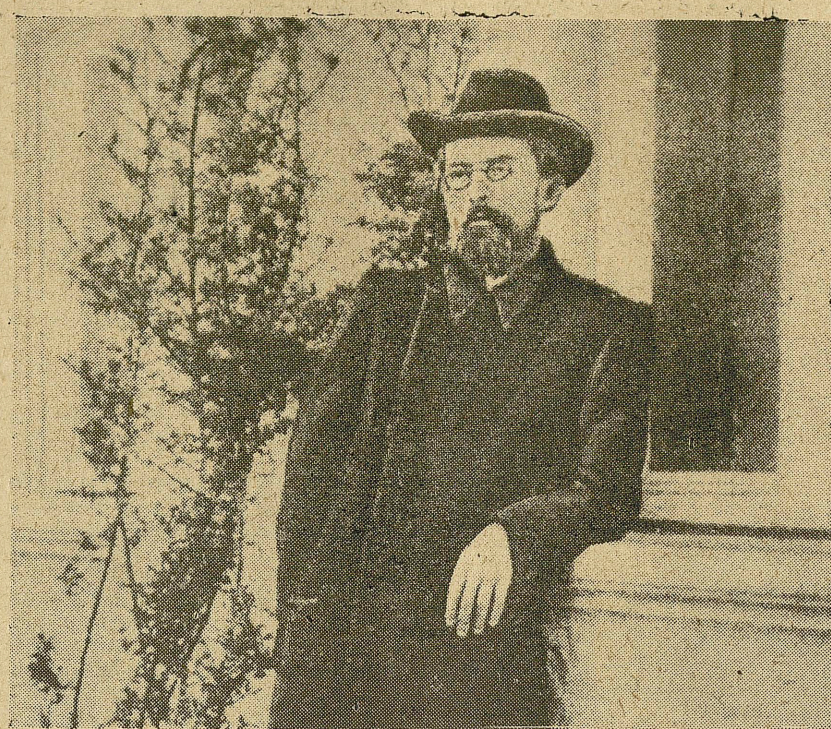
Aby pisać, musiał Czechow odpowiedzieć sam sobie na pytanie po co pisze.

W opowiadaniu pt. „Nudna historia”, młoda dziewczyna, Katia zwraca się z pytaniem do swego opiekuna, starego uczonego, typowego choć pozbawionego busoli ideologicznej, przedstawiciela inteligencji rosyjskiej: „Mikołaju Stepanowicz, ja już nie mogę tak dalej żyć. Nie mogę. Na Boga żywego, niech mi pan w tej chwili powie, co mam robić?” Ale stary profesor nie znajduje odpowiedzi na to pytanie, choć doskonale je rozumie. Dlatego też w chwili śmierci konstatuje z przeraźliwą jasnością, iż ponosi klęskę.

W szeregu następnych opowiadań znajdujemy już próby odpowiedzi na pytanie Katii.

Bijące „Jakby młotkiem po skroniach” sumienie społeczne bohatera czeskiego wyodrębnił Jermilow jako cechę szczególnej literatury rosyjskiej, charakteryzującą „kajających się” kupców Ostrowskiego i „kajających się” szlachtę Turgeniewa i Tolstoję. Przejmujący jest dany przez Jermilowa opis podróży w kibitce na Sachalin chorego na gruźlicę Czechowa, jadącego aby opisać warunki życia zsyłanych tam katorżników i „spłacić tym dług swemu sumieniu — sumieniu rosyjskiego pisarza”. „Rosyjski pisarz — sumienie wielkiego narodu czuł zawsze swą odpowiedzialność wobec narodu za całe życie kraju” — pisze Jermilow.

Dotychczasowe sformułowane odpowiedzi na „przekleśne pytanie”, były negatywne: nie tak należy postępować. Po powrocie z Sachalinu przechodzi Czechow do pozytywnych sformułowań: już nie tylko pytanie, czego nie należy robić, znajduje odpowiedź w jego utworach, lecz również rozstrzyga się problem, co robić należy. I pierwsza, bardzo jeszcze ogólna odpowiedź brzmi: wbrew moralności tołstojowskiej, głoszącej niesprzeciwianie się złu, nie wolno tolerować zła, należy skupić



wszystkie swe siły, aby z nim walczyć. Postawa ta znajduje wyraz w nieznanym dotąd polskiemu czytelnikowi opowiadaniu pt. „Sala Nr 6”. System filozoficzny doktora Ragina, głoszący niesprzeciwianie się złu i pogardę dla cierpienia, wali się w gruz w chwili, gdy doktor zamknięty zostaje pomyłkowo w sali nr 6, podobnego do wiezienia szpitala dla obłąkanych, w zasięgu władzy brutalnego dozorca Nikity. Po zamknięciu w warunkach, które sam tolerował przez lat dwadzieścia, pocieszając się różnymi „kojącymi filozofiami”, odezwało się w doktorze Raginie „sumienie, równie nieustraszone i brutalne jak Nikita, i sprawiło, że zadął z stóp do głów”.

„Sala nr 6” wywarła wstrząsające wrażenie na młodym Leninie. Czechow pokazał dobitnie, iż tolerując zło współdziała się z nim. „To my, bierni nie sprzeciwiający się złu inteligenci — pisze Czechow — zgnoślimy w wiezieniach miliony ludzi, mnożyliśmy przestępstwo i zwałaliśmy wszystko na dozorców więziennych o czerwonych nosach”. Na polemikę z reakcyjnym „kaznodziejstwem” tołstojowskim wskazuje Jermilow również w całym szeregu innych utworów Czechowa. Post, aseksa i „uproszczenie życia”

inteligencji przez pracę na roli nie dają bohaterom Czechowa poczucia wartości i celowości życia. „Jeżeli rzeczywiście chcesz być pożyteczny, to wyjdź z ciasnego kręgu zwykłej działalności i staraj się oddziaływać od razu na masę”.

Szczególnie ostro demaskuje Czechow skłiszczone narodnictwo i liberalizm. Liberalna i narodnicka krytyka zarzucała Czechowowi bezideowość, chcąc uczynić zeń głosiela swych „ubozłuchnych” (wg. wyrażenia Jermilowa) ideałów. Czechow jednakże widział dalej niż oni, rozporządzał większą „intuicją historii i czujnością społeczną”. W szeregu opowiadań wykazuje jawność i bezsilność społecznej ideologii „głupich gustów” nieprawie uważających się za ideowych spadkobierców Czernyszewskiego i Dobrolubowa. W cyklu opowiadań o życiu wsi, nacośnie pokazuje Czechow fałszywość idyllicznych poglądów narodników, usiłujących zatuszować kapitalistyczne przeciwieństwa na wsi.

Krytyce liberalizmu i związanej z nim teorii „małych czynów” (odpowiadającej polskiemu organicznemu pojęciu „małych czynów”) poświęcił Czechow dla głębszego rozumienia tej krytyki konieczne jest wyjaśnienie częstego w jego utworach symbolu „futurału”. Na-

uczyciel grecki, Bielikow, bohater opowiadania pt. „Człowiek w futurale” reprezentuje go najlepiej — „futurał” to cały jego sposób życia. Słomaczka skorupa, w której zamyka swoją, zadowoloną z siebie ograniczoność, w której chroni się przed wszelkim żywym zetknięciem z otaczającym światem. Bielikow nie ma nic wspólnego z liberalizmem — ucieka przed najsłabszym liberalnym odruchem myśli, robi jedynie to, co jest wyraźnie dozwolone w ówczesnych przepisach. Niemniej jednak, taki sam „futurał” odkrywa Czechow w liberalistycznej, kojącej wierze w miniatury, ewolucyjny postęp, w rozwiązaniu zagadnień społecznych przez akcję zakładania „apteczek, bibliotek, punktów sanitarnych”. Coraz wyraźniej widzi pisarz, iż „trzeba leczyć nie choroby, lecz ich przyczyny”, że filantropia i teoria „małych czynów” to futurały, w które burzą się chowa swe niespokojne sumienie, w które chroni się przed spojrzeniem w oczy prawdziwe, że są to środki nasenne, osłabiające „już i bez tego nieskonczenie słabą w mieszczaństwa rosyjskiego świadomość swojej odpowiedzialności jako obywatela, za wszystko, co robi rząd”. Ogólny nastrój Czechowa krystalizuje się w słowach narratora z opowiadania „Agrest”: „Tak dalej żyć nie można! Powołujcie się na porządek rzeczy w naturze, na prawdziwość zjawisk, ale czy jest porządek i prawdziwość w tym, że ja, żywy, myślący człowiek, stoję nad rowem i czekam, aż sam zarośnie gdy mógłbym przez ten rów przeskoczyć albo zbudować nad nim most? I znowu pytam — dlaczego mam czekać? Czekając, gdy brak sił do życia, a tymczasem żyć trzeba i chce się żyć!”.

Z wielką siłą odsłania Jermilow wewnętrzny tragizm pisarza — ostatniego, wielkiego przedstawiciela krytycznego realizmu, polegającego na zrozumieniu konieczności rewolucji przy niewiedzeniu sił społecznych mogących ją zrealizować. Stąd ustatkowienie rozmyślenia ulubionych bohaterów Czechowa o szczęśliwym życiu, które nastąpi kiedyś, może za lat dwadzieście i którego oni nie dożyją. Wkrótce jednak sam Czechow potępi owe nastroje. Intuicja historii podpowiada mu, że „żyjemy w przededniu największego triumfu”. Stąd w ostatnich utworach pisarza ton radosnego pożegnania się ze starym życiem i przygotowania do przyjęcia nowego nadchodzącego. Czechow przeczuwa możliwości „triumfu”, szczęścia już

nie oddzielnego dwoma wiekami od współczesnego pokolenia, ale stojącego przed nim jako zadanie do wykonania, cel walki, walki za wszelką cenę. „Wydaje mi się — przytacza Jermilow godne uwagi słowa Czechowa — że aby poczuć się wolnym i jednocześnie szczęśliwym, nie należy ukrywać przed sobą, że życie jest okrutne, brutalne i nieublagane w swoim konserwatyzmie, lecz należy postępować z nim tak, jak na to zasługuje, czyli: być równie brutalnym i nieublaganym w dążeniu do wolności”.

Równoległe z analizą ideologicznej ewolucji pisarza rozpatruje Jermilow czołowe zagadnienie etyczne, wokół których grupuje się problematyka utworów Czechowa — zagadnienie szczęścia osobistego i roli piękna w życiu człowieka. Pisarz, który jak nikt inny umiał wyrazić ludzką potrzebę i prawo do szczęścia, widział zarazem, iż w społeczeństwie opartym na wyzysku „szczęście” możliwe jest tylko dla ludzi posiadających „futurał”, pozwalający im nie widzieć i nie słyszeć tego, o czym krzyczy niema statystyka. W społeczeństwie takim człowiek uczywni nie może być szczęśliwy, gdyż „szczęście” oparte jest na pałozynictwie. Podobnie wartościuje Czechow piękno — jest ono najwyższą wartością ludzką, lecz tylko wtedy gdy nie opiera się na pałozynictwie, gdy wypływa z pracy i całości postawy moralnej.

Uderza w książce Jermilowa ogromna serdeczność z jaką mówi autor o Czechowie, wielka miłość do pisarza, życie się z nim wyczuwalne na każdej stronie. Wiele stron poświęca autor sylwetce psychicznej Czechowa, tajemniczy specyficzny czar, jaki wywierał on na otoczenie. Tylko Rosjanie potrafili mówić tak o swoich pisarzach. Mimowolnie przypomina się ów ton wzruszenia i ciepła, z jakim przyjeżdżający do Polski profesorowie radzieccy mówili o Puszkynie, Tolstoju i Czechowie — bez wymienienia nazwisk, poprostu — Aleksander Sergiejew, Lew Mikołajewicz, Anton Pawłowicz, jak o najbliższych, wspólnych przyjaciół, jak o ludziach żyjących „osobiście im znanych”.

Jermilow jest urodzonym krytykiem literackim. Książka jego, obok niewątpliwie, ściśle naukowej odkrywczości posiada olbrzymie walory popularystyczne oraz ściśle literackie, artystyczne. Może więc liczyć na masowego czytelnika.

Andrzej Walicki

ALINA SAWICKA

CHŁOPCY Z CEGIELNI

KSIĄŻKA wybitnego postępowego działacza i pisarza Portugalii Pereiry Gomesa (1909—1949), zatytułowana w polskim przekładzie „Chłopcy z cegielni” (*), pokazuje na przykładzie losów chłopców z portugalskiego miasta, zdławięnego przez dyktaturę faszystów, typowy obraz dzieciństwa w nędzy i upośledzeniu, smutnego dzieciństwa ludzi biednych i wyzyskiwanych. Takich chłopców jak Sagni, Ginet, mały Joao, znaleźć można we wszystkich miastach kapitalistycznego świata. Tak samo zbierają niedopalki na ulicach, łatem — żeby żyć — kradną owoce z ogrodów, tak samo marzą o nieosiągalnej szkole, o pracy w „wielkiej fabryce”, o boisku sportowym. Autor potrafił prawdziwie i wzruszająco pokazać swoich bohaterów, wzbudzić w czytelniku współczucie dla nich, a zarazem oburzenie, nienawiść do ustroju, w którym dzieci libońskich nędzarzy nie mają możliwości zrealizowania swych tak naturalnych pragnień lepszego życia, pasjonującej pracy, nauki. Wcześniej bowiem spada na nie odpowiedzialność za rodzinę żyjącą w nędzy, za umierającą na gruźlicę matkę. Wcześniej muszą stawać do pracy ponad siły. Kilka miesięcy sezonowej roboty w cegielni, to katorga nędze i platan, wyniszczająca zdrowie. Wzrost doprowadzony tu został do ostatnich granic: te ośmioletni czy jedenastoletni dzieci nie potrafią się jednak przed nim obronić, bo nawet ta nędzna praca jest w warunkach ogólnego bezrobocia dobrodziejstwem. Kiedy cegielnia jest nieczynna dzieci szukają innych środków do minimum egzystencji: sprzedają gliny do czyszczenia garnków, żebractwo, często kradzież. Obraz tego smutnego dzieciństwa pod piórem Gomesa nabiera rysów wstrząsającej prawdy. Dlatego słuszną jest uwaga F. Keljina w artykule zamieszczonym w „Literaturze Radzieckiej”: „Podobnie jak całe przodujące społeczeństwo, postępową literaturę domaga się uporczywie, by rozwiązano jedno z najbardziej palących zagadnień naszych czasów — zagadnienie losu milionów nieszczęśliwych dzieci w krajach kapitalistycznych. We wzmagającym się dziś międzynarodowym ruchu w

obronie dzieci — tej nadziei ludzkości — książka Pereiry Gomesa, malująca tragedię dzieci w faszystowskiej Portugalii, odegra bez wątpienia pozytywną rolę”.

W książce Gomesa mimo obrazu nędzy i upośledzenia dzieci robotniczego miasta, jest wiele wiary w człowieka. Los małych nędzarzy, poddanych niszczeniu działaniu ustroju, wstrząsa tym mocniej, że autor potrafił pokazać ich wrodzoną dobroć, piękno duchowe, pęd do lepszego, czystego życia, wzajemną szczerą przyjaźń. Gromada chłopców manifestuje na każdym kroku koleżeńską solidarność; w ich wspólnym życiu jest wiele szczerzej serdeczności i wzajemnego zaufania. W nędzy, we wspólnej walce o byt kształtuje się szczerza, niezachwiana przyjaźń. Podczas pracy w cegielni chłopcy w miarę możliwości pomagają sobie wzajemnie, chronią słabszych przed kramami majstra. Jakże smutny jest obraz rozrywki tej młodzieży, pozbawionej prawa do radości życia — kramarstwo, gdzie kradnie się słodycze z kramów ludzi również biednych, radość chwila, gdy można wypić butelkę wina za pieniądze zarobione na skradzionych pomarańczach lub raz na rok pójść do kina, wynosząc wiele niewykalkulowanych złudzeń z cowbojskiego filmu...

Tem przeżyć młodych bohaterów powieści są robotnicze dzielnice miasta, port nadrzeczny, cegielnia. W życiu ludzi pracy autor potrafił także uchwycić zjawiska najbardziej typowe dla ustroju kapitalistycznego: — ciągłą obawę przed bezrobociem, marzenia o pracy w „wielkiej fabryce”, nędzę robotniczej rodziny, redukcję w fabrykach, pogłębiające się bezrobocie rzemieślników. I w tym obrazie na plan pierwszy wysuwa się dobroć, moralna czystość prostego człowieka, gotowego zawsze bezinteresownie pomóc swoim wyzyskiwanym współtowarzyszom. Powieść Gomesa przynosi nową wersję motywu „ojców i dzieci”. Ojcowi złał, zgnił i zniszczył kapitalizm, ale dzieci, pragnące szczęścia i radości życia, zbuntowane — jeszcze w sposób nieorganizowany — przeciwko ustroju; nie pozwolą już na powtórzenie losów rodziców. Skrepowany potwornym naciskiem faszystowskiej cenzury (policja portugalska i tak zresztą otrzymała nakaz zniszczenia książki), Gomes nie

mógł zbyt otwarcie wystąpić przeciwko dyktaturze Salazara. Ale „klucz do zrozumienia koncepcji pisarza — że przywołamy raz jeszcze ocenę Keljina — leży w zestawieniu ojców, których złamało życie, którzy ulegli lub zeszli na manowce, z niepokornymi, buntującymi się wyrzniętymi, buntującymi się wyrzniętymi”. W takim skomponowaniu losów „ojców i dzieci” mieści się zasadniczy sens ideowy utworu Gomesa. Trzeba bowiem wyraźnie zaznaczyć, że chociaż autor dobitnie wskazał, iż nędza „chłopców z cegielni”, ich tragiczne dzieciństwo są produktem ustroju kapitalistycznego, to jednak nie mógł dać pełnych perspektyw rewolucyjnej walki z tym ustrojem. Robotnicy, dzieci robotnicze rozumieją, że to właściciele fabryk i cegielni są sprawcami ich nieszczęść, nienawidzą ich, ale nie potrafili jeszcze stanąć do solidarnej walki rewolucyjnej, nawet o niej nie myślą. Autor cofnął się tu jak gdyby przed ostatnim słowem; pozostało tylko oskarżenie. Sami już musimy sobie odpowiedzieć, że tylko wówczas Sagni, Ginet i tysiące innych odnajdą radość dzieciństwa, gdy zwycięży kierowana przez Partię zorganizowana siła proletariatu, walczącego o lepsze jutro, o szczęśliwe życie dla wszystkich chłopców z cegielni.

Alina Sawicka



Foto — WAF

JERZY HERMUT

POWIEŚĆ O SZKOLE SUWOROWCÓW

TEMATYKA młodzieżowa w literaturze radzieckiej jest bogata i wszechstronnie reprezentowana. Wystarczy, gdy zacytujemy tak cenne pozycje, jak: „Poemat pedagogiczny” Makarenki, „Młoda Gwardia” Fadiejewa, „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego, „Timura i jego drużyna” Gajdara, czy „Studentów” Trifonowa. Poza tymi książkami — całkowicie poświęconymi sprawom młodzieży, traktującymi młodzież jako swego głównego bohatera — życie młodych zostało odzwierciedlone i w innych utworach poświęconych odmiennym zagadnieniom (tutaj można przypomnieć np. „Daleko od Moskwy” Ażajewa, czy „Złniwa” Nikołajewej). W książkach tych znajdziemy obraz młodzieży radzieckiej, ukazanej w toku rewolucji i w procesie budowania nowego ustroju, kształtowania nowego stosunku do społeczeństwa, państwa, własności społecznej, w walce z najeźdźcą hitlerowskim itd. Zainteresowanie sprawami młodzieży u najpóźniejszych pisarzy radzieckich nie jest, zdawno, dowodzi bowiem tylko doceniania przez nich ważności tej gałęzi literatury, czego np. niestety nie możemy powiedzieć o naszej współczesnej twórczości literackiej.

Do wymienionych cennych utworów o młodzieży dodać należy jeszcze jeden, mianowicie świeżo opublikowaną przez Wydawnictwo M. O. N.-u książkę B. Iziumskiego pt. „Purpurowe naramienniki” (*).

Jest to powieść o młodych chłopcach, uczących się w jednej z licznych w ZSRR szkół kadetów, w ucełni im. Suworowa. Czy takie określenie nie sygnalizowałoby jednak zacieśnienia problemu? Raczej tak. „Purpurowe naramienniki” bowiem to nie tylko książka o młodzieży, to również wszechstronny obraz działalności wychowawców; ukazanie zalet i błędów ich pracy nad ukształtowaniem różnorodnych charakterów młodych; przedstawienie środków, przy pomocy których wpaja się wychowankom cechy godne człowieka Kraju Rad, oficera Armii Radzieckiej. Obraz życia, bogato ilustrowany wydarzeniami, dyskusjami, ciekawą i różnorodną galerią typów kadetów i wychowawców, przedstawia czytelnikowi trudności, na jakie napotykał nauczyciele w swej pracy pedagogicznej; zapoznaje z psychiką chłopców w wieku od 12 do 19 lat, z ich pragnieniami, wadami i zaletami. Walka z niejednokrotnie wydawałoby się niemal niemożliwymi do wykorzystania wadami (nawet tak poważnymi jak złodziejstwo) stanowi poważną część akcji tej książki. Czytelnik widzi, jak zmieniają się charaktery chłopców pod wpływem oddziaływania wychowawców i kolektywu, jak stają się oni ludźmi wartościowymi, zasługującymi na miano suworowców. Ciekawie zarysowana została droga rozwoju Artima, Wołody, Pawlika, Awilki; postacie tych chłopców na długo pozostaną w pamięci czytelnika. Obraz życia młodzieży — potraktowany szeroko i wielostronnie — cechuje dynamizm, humor, i tak niezbędne w książkach tego rodzaju, poczucie radości, niepozbawione młodzieńczej beztroski.

Obrazując działalność wychowawców autor nie ograniczył się tylko do jednego z dwu typów. Obok zwolennika nadmiernej łagodności w działalności wychowawczej — Rusanowa, mamy przeciwstawionego mu w stosowaniu środków pedagogicznych Tutukina i stojących na jeszcze innych pozycjach wychowawców: Bokanowa, Biesiedę, Garzewa, Wiedienkina. Z przebiegu akcji dowiadujemy się, jak poszczególne metody oddziałują na chłopców, jakimi metodami należy rozwiązywać nasuwające się zagadnienia wychowawcze. Metody Tutukina i Rusanowa np. nie wytrzymują próby życia, muszą upaść. Postacie wychowawców i wykładów owoce ich pracy, zrozumienie ważności swej roli i odpowiedzialności za wychowanie młodego pokolenia

przyszłych oficerów bohaterskiej Armii Czerwonej. Autor jednak nie idealizuje; może się zdarzyć i zły wychowawca (Striepuh), lecz będzie to przypadek. Kontrola pracy szybko wykaze jego niewłaściwe działania i spowoduje usunięcie.

Spójrzmy teraz na „Purpurowe naramienniki” z pozycji czytelnika, do którego zostały przede wszystkim skierowane, a mianowicie młodzieży. Otóż w lekturze „Purpurowych naramienników” znajdą nasi dorastający chłopcy i dziewczęta nie tylko wiele interesujących wydarzeń, nie tylko ciekawych ich fabuła i przeżycia bohaterów, ale (i tu leży cel utworu) spotkają się ze swymi rówieśnikami, którzy dostarczają im wzoru postępowania, których postacie nieprędko zostaną przez nich zapomniane. Postacie te, jak już zaznaczyliśmy, to żywe, a nie idealne wzory.

„Purpurowe naramienniki” możemy zaliczyć ze względu na tematykę i jej rozwinięcie do tej kategorii książek, co „Poemat pedagogiczny”. Niestety pod względem poziomu artystycznego — książka ta stoi o wiele niżej. Usterki natury formalnej, dotyczące kompozycji utworu, obniżają przede wszystkim jej wartość. Książka Iziumskiego grzeszy zwłaszcza chaotycznością konstrukcji. Tendencja do jak najbardziej szczegółowego obrazu, przy uczeniu bohaterem książki całej młodzieży i jej wychowawców (nie wydaje się możliwe przyjęcie, że głównego bohatera Kowalowa), ujemnie wpłynęła w tym wypadku — przy niezręczności autora — na jasność konstrukcji akcji, na jej przejrzysty rozwój. Wpływa to na fakt, że czytelnik czuje się czasem zagubiony w kolejności przebiegu wydarzeń. Moglibyśmy także mieć pretensje do autora za zbyt szkieletowe przedstawienie niektórych postaci (np. Snopkow). Niemniej jednak błędy kompozycji nie potrafiły poważnie zniekształcić obrazu walki o nowego człowieka, obrazu życia suworowców. Książka stanowi zatem ciekawą i cenną pozycję w naszych przekładach z literatury radzieckiej.

Jerzy Hermut

*) Pereira Gomes, Chłopcy z cegielni, „Czytelnik”, 1951 r., tłum. z portugalskiego H. Czajka.

*) B. Iziumski, Purpurowe naramienniki, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1952.

HENRYK KOSECKI

W DĄBRÓWCE SŁUPSKIEJ

Powiat szabliński, w lipcu.

W Dąbrówce Słupskiej było przed 4 lata, w 1948 r., i kiedy w tych dniach ponownie wybierałem się tam na reportaż, m. in. przypomniały mi się ostatnie 4 czy 5 kilometrów kiepskiej, piaszczystej drogi, prowadzącej od poznajskiej szosy do wioski. Na dodatek kierowca, po przeczytaniu na delegacji miejscowości docelowej, spojrzawszy na mnie dość ponuro, i on z pewnością przypomniał sobie dojazd do Dąbrówki. Ale... pojechał.

Po niecałej godzinie, gładką jak stół szosą dojeżdżałem do miejscowości, w którym kiedyś rozpoczęła się piaszczysta, ciężka droga, prowadząca do wsi Dąbrówka. Skręciłem w prawo i... Odruchowo wymieniliśmy się z kierowcą spojrzeniami. Uśmiechnęliśmy się i miłe zaskoczeni pojechaliśmy dalej. Przed nami ciągnęła się, wprawdzie znacznie węższa od szosy głównej, ale tak samo gładka droga. Na rozdzielniku zdążyłem jeszcze odczytać tablicę informującą: Do spółdzielni produkcyjnej „Postęp”, Dąbrówka Słupska. Rzeczywiście postęp! — pomyślałem.

W zarządzie spółdzielni zastaliśmy tylko księgowego. Przewodniczący był w magazynie, gdzie kończono właśnie rozdzielacze pomiędzy członków cukier, otrzymamy ze żniwisk cukrowych za dostarczone na jesieni buraki.

Teraz, w okresie żniw i omłotów, na wsi tyle jest pracy, że trudno nawet o chwilę rozmowy z przewodniczącym czy innym aktywnym spółdzielcą, trudno zastać kogoś na wsi. No, ale dziś — dzień świąteczny — 22 lipca, więc nikt do pracy nie wychodził. Za chwilę więc mogliśmy już bez pośpiechu, do woli porozmawiać sobie z przewodniczącym Walentym Domagałskim i sekretarzem organizacji partyjnej Stanisławem Grzesiakiem oraz kilkoma członkami spółdzielni.

Wysłaliśmy na pole. Gospodarze chcieli pokazać złote łany zbóż. A mieli się czym pochwalić. Grube, ziarniste kłosa dojrzałego już żyta za każdym podmuchem wiatru chyliły się ku ziemi. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się spójdziałe łany. Na lekkim wzniesieniu przystanęliśmy.

— Czas żniwować — rzekł rozsypany zerwany kłosa — na co czekać?

— Ba, nowinę nam powiedzieliście — uśmiechnęli się wszyscy. — A tam... o tam, w tym... — pokazywał dłoń Grzesiak. — Nie widziacie traktorów, żniwiarów.

Rzeczywiście. Daleko, prawie na horyzoncie, wolno sunęły 4 ciemniejsze od złotej tła maszyny. To pracowały 4 traktory i tyle żniwiarów, które pozostawiali za sobą powiązane już w snopki żyto i niejącone ściernisko. Wiatr, co pewien czas przynosił z oddali gulgota Ur-

(Od specjalnego wysłannika)

susów, Zetorów i głuchy terkot maszyn żniwnych.

— A mówiliście, że nikt dziś od was w pole nie wyszedł — zwróciłem się do przewodniczącego.

— I miałem rację. To przecież POM-owcy z Kowalewa pomagają nam swymi traktorami i maszynami. Dziś oni, a jutro na nas kolejka. Wszyscy, kto tylko może, wyjdzie jutro w pole i w kilka godzin mamy mende postawione.

— No i prawie już po żniwach — dodaje Grzesiak — szybko co? I bez wielkiego wysiłku.



Foto — WAF

Tak, zmieniła się sytuacja. Ileż to pracy i potu, ileż tygodni kosztował kiedyś sprzęt płonów. A dziś, żniwa w spółdzielni produkcyjnej, gdzie czyni się do nich planowe przygotowania, trwają zaledwie kilka dni. Nikt się morderczo nie napracuje i tam, gdzie dziś żyto stoi jeszcze na pniu — pojutrze kilkoma już będzie ziarno poplonu. Takie jest tempo dzisiejszej socjalistycznej wsi polskiej. Tempo to nie jest jednak równe w każdej spółdzielni produkcyjnej. Decyduje w tym wypadku dobra organizacja pracy.

Spółdzielnia w Dąbrówce pod tym względem może być zaliczona do przodujących w województwie bydgoskim. Praca jest tutaj dobrze podzielona i każdy z członków brigady zna swoje obowiązki. Szczególnie młodzież wykazuje tu dużo zrozumienia dla zadania, jakie przed nią — przyszłością naszej Ojczyzny — stoi. Starsi wcale nie ukrywają, że dumni są ze swej młodzieży.

— Nasze sukcesy, nasz pomysłowy rozwój gospodarczy — z dumą mówi Domagałski — to wielka zasługa brigady młodzieżowej. Na takiej brigadzie można polegać.

Brigada młodzieżowa, składająca się z 12 dziewcząt i zaledwie 3

chłopców w niczym nie ustępuje drugiej brigadzie polowej, w której przecież tylu silnych i doświadczonych gospodarzy pracuje. Nie ustępuje w pracy na roli — mam na myśli — bo np. w pracy społecznej, brigada Łapuszyńskiej nie ma konkurencji, nawet w okolicy. Oto przykłady:

W sąsiednich Górkach Zagajnych i Zalesiu powstał Komitet Założeń spółdzielni — rezultat pracy uświadamiającej brigady Łapuszyńskiej.

Pozostałych członków brigady też nie zastanawia Dąbrówka. Wszyscy pojechali na zlot powiatowy do Szubina. Pojechali nawet ci najmłodsi, którzy chociaż do brigady jeszcze nie należą, bo w szkole oświatę i wiedzę zdobywają — a już spółdzielnia jest z nich dumna. Dobrych będzie miała w przyszłości gospodarzy. Np. Stefek Maciejewski ma dopiero 12 lat, a tylko ma konia dać — każdej robocie sprosta.

Wielu też młodych z Dąbrówki pracuje w miastach w przemyśle, wielu uczy się w szkołach średnich. Kiedy założono spółdzielnię niejednemu spełniły się marzenia. Zastąpiły ich ręce maszyny z POM-u. Zysmunt Rogożewski i Ryszard Hallkowski kształcą się w Bydgoszczy. Już niedługo zdobędą dyplomy techników, a potem... wyższe studia. Bo dziś chłopie dziecko może zostać inżynierem czy lekarzem.

Pożytku nie mało ma Dąbrówka ze swej młodzieży. Ot na przykład ci traktorzyści z POM Kowalewo, którzy pracują w tej chwili na polach spółdzielni, to także synowie Dąbrówki. Marian Wiśniewski jest przydzielonym traktorzystą POM-u. Na swym Ursusie zamiast 8 ha, co si dziennie 12 ha zbóża, a ponadto wykonuje dziennie 2 ha podorywki. Tak samo, Szcapan Chelmski, który kieruje Zetorem i brigadziści Ignacy Jankowski. Oni, traktorzyści POM-u, obrabiają ziemię swych ojców.

Coraz bliżej słyhać gulgota traktorów. Łan żyta kurczy się w oczach.

— Popatrzcie — zwrócił uwagę Grzesiak — na upartego ich trzech wystarczyłoby, aby przeprowadzić u nas żniwa. A kiedyś, co to ludzi potrzebowało do żniwa. Co to jednak znaczy spółdzielnia!

Było już dobrze po południu, kiedy trochę wyczerpani się przeróżne tematy naszej rozmowy. Najbardziej jednak w pamięci pozostała mi młodzież Dąbrówki. Ta młodzież jest przecież najlepszą gwarancją jej jasnej przyszłości i pięknych perspektyw. A taka przyszłość — to bliższy dobrobyt.

Byłem zdumiony działką 15-stką, gdy opowiadali mi o niej moi rozmówcy.

— Gdzie jest ta Łapuszyńska, gdzie są ci młodzi — rzekłem, chcąc ich zobaczyć, pomówić z nimi.

— Nie, dziś ich nie zobaczycie — rozłożył ręce przewodniczący — Czesia Jankowska, Renia Majewska,

Marysia Łapuszyńska i Jadzia Janowiak, są dziś w Warszawie, na Złocie. Może właśnie w tej chwili maszerują przed naszym Prezydentem, przed trybuną. Marysia na pewno niesie ten nowy sztandar...

— Jaki sztandar? — przerwałem, pierwsze słysząc, że spółdzielnia posiada sztandar. Ale okazało się, że to nie sztandar spółdzielni niesły w stolicy młode przodownice rodzącej się socjalistycznej wsi pomorskiej, lecz sztandar Polskiego Komitetu Obrony Pokoju, zdobyty w tym roku przez brigadę młodzieżową z Dąbrówki Słupskiej. Takiego to wyróżnienia doznała za swą pracę brigada Łapuszyńskiej.

Wielu też młodych z Dąbrówki pracuje w miastach w przemyśle, wielu uczy się w szkołach średnich. Kiedy założono spółdzielnię niejednemu spełniły się marzenia. Zastąpiły ich ręce maszyny z POM-u. Zysmunt Rogożewski i Ryszard Hallkowski kształcą się w Bydgoszczy. Już niedługo zdobędą dyplomy techników, a potem... wyższe studia. Bo dziś chłopie dziecko może zostać inżynierem czy lekarzem.

Pożytku nie mało ma Dąbrówka ze swej młodzieży. Ot na przykład ci traktorzyści z POM Kowalewo, którzy pracują w tej chwili na polach spółdzielni, to także synowie Dąbrówki. Marian Wiśniewski jest przydzielonym traktorzystą POM-u. Na swym Ursusie zamiast 8 ha, co si dziennie 12 ha zbóża, a ponadto wykonuje dziennie 2 ha podorywki. Tak samo, Szcapan Chelmski, który kieruje Zetorem i brigadziści Ignacy Jankowski. Oni, traktorzyści POM-u, obrabiają ziemię swych ojców.

Coraz bliżej słyhać gulgota traktorów. Łan żyta kurczy się w oczach.

— Popatrzcie — zwrócił uwagę Grzesiak — na upartego ich trzech wystarczyłoby, aby przeprowadzić u nas żniwa. A kiedyś, co to ludzi potrzebowało do żniwa. Co to jednak znaczy spółdzielnia!

Było już dobrze po południu, kiedy trochę wyczerpani się przeróżne tematy naszej rozmowy. Najbardziej jednak w pamięci pozostała mi młodzież Dąbrówki. Ta młodzież jest przecież najlepszą gwarancją jej jasnej przyszłości i pięknych perspektyw. A taka przyszłość — to bliższy dobrobyt.

Henryk Kosecki

Kronika radziecka

BOHATEROWIE WYRASTAJĄ Z LUDU

„PISARZ powinien wiedzieć tak dużo, że aż strach pomyśleć. Powinien wszystko rozumieć! Powinien pracować jak wół i nie uganiać się za sławą! Tak! Otóż to właśnie! Jedno może panu powiedzieć — niech pan idzie do wiejskich chałup, na jarmarki, do fabryk, do domów noclegowych. Niech pan obejrzy wszystko, co się tylko da — teatry, szpitale, kopalnie i więzienia. Tak! Wszystko! Żeby życie przepoiło pana jak spirytus walerian! Żeby z tego wyszła prawdziwa tiktura. Wtedy będzie pan mógł jak ludziami dawać jak cudotwórca balsam!”

Te słowa wypowiada w książce Konstantego Paustowskiego pt. „Dalekie lata” jeden z licznych bohaterów, wziętych z życia, aptekarz wiejski Łazarz Borysowicz. Dziś „wyznanie sztuki” złożone przez Łazarza nie brzmi rewolucyjnie. Żyłymy się z tym, że literatura powstaje nie przy biurku, lecz że tak powiem, w ogniu życia. Przywykłym mierzyc wartości beletrystycznych postaci ich życiową prawdziwością. Ale wtedy przed pierwszą wojną światową — czas akcji „Dalekich lat” — program literacki Paustowskiego był równie odległy jak wędrowni po Rosji Gorkiego w poszukiwaniu nowych bohaterów z ludu.

W zakończeniu „Dalekich lat” i w odpowiedzi na apel skromnego wiejskiego aptekarza Paustowski pisze:

„...Poszedłem między ludzi, do swej szkoły życia, której nie zasąpią żadne książki ani oderwane rozmyślenia”.

Należy zwrócić uwagę na taki rodzaj twórczości Konstantego Paustowskiego w związku z 60 rocznicą (1892-1952) jego urodzin. Z bogatej „szkoły życia”, ze znajomości Łazarza i historii Rosji powstały „Dalekie lata”, „Mieszczorski kraj”, „Kolchida”, „Kara-Bugaz”, „Opowieść o lasach” i liczne mistrzowskie opowiadania.

Niedawno ukazał się u nas „Wybór utworów” Konstantego Paustowskiego, ukazujący nie tylko galerię barwnie odwołanych postaci, ale i reprezentujący wysoka szkołę rzemiosła nowelistycznego. Paustowski — mistrz opowiadań — należy do najlepszych nowelistów rosyjskich jak — Turgeniew, Lew Tolstoj, Czechow, Korolenko, Garszin, Kuprin i inni.

Źródła tej sztuki tkwią całkowicie w życiu, w poznawaniu dążeń i charakterów bohaterów z ludu.

W postawie do wspomnianego wyboru opowiadań czytamy: „Zaraz na początku swej kariery autorskiej Paustowski, jak sam przyznaje, przekonał się, że ma za mało doświadczenia życiowego i znajomości ludzi. Przeszedł tedy pisać i wszedł w życie „między ludzi”, zaczął świadomie zmieniać zawody i wędrować po Rosji. Był kierowcą i konduktorem tramwajowym w Moskwie, sanitariuszem, robotnikiem w zakładach Gustawa Lista w Moskwie, w briańskiej fabryce w dawnym Jekatierynostawie, w noworosyjskich zakładach przemysłowych w Juzowce (obecnie Salino), w fabryce kotłów New-Wilde’a w Taganrogu; pracował w charakterze pomocnika w rybackim artelu na „Pietrusznowskiej Mierzei (Morze Azowskie), pływał jako marynarz, był wykładowcą literatury rosyjskiej w gimnazjum, wreszcie przeszedł całą drogę dziennikarską od reporterów do redaktora gazety”.

Dodajmy do tego wykazu pracowniczego życia bezpośredni udział w wojnie domowej i w ostatniej wojnie ojczyźnianej.

Zmieniając zawód Paustowski odbiera zawsze inny teren. W ten sposób poznaje rozległe przestrzenie Związku Radzieckiego. Objeżdża wybrzeża Morza Kaspijskiego, Embe, Dagestan, Kaukaz, Armenię, Murmański, Karelie, Kolchidę, Krym, Północny Ural, Kraj Mieszczorski, Północna Rosję i Ukrainę.

Związek Pisarzy Radzieckich uczcił zasługi Paustowskiego specjalną akademią z okazji 60-cia urodzin znakomitego pisarza. Literaci radzieccy wskazywali na rozległą drogę życiową i związane z tym osiągnięcia twórcze autora „Kolchidy”, „Utalentowane książki Paustowskiego, traktujące o ludzich przeobrażających przyrodę — głośnia rezolucja — „Kara-Bugaz”, „Kolchida”, „Opowieść o lasach” zajmują wybitne miejsce w naszej literaturze i cieszą się miłością milionów radzieckich czytelników.

Paustowski jako jeden z pierwszych radzieckich pisarzy stworzył dzieło o wielkich budowlach komunizmu powieść pt. „Narodziny morza”.

Doświadczenia życiowe i osiągnięcia twórcze Paustowskiego mogą być wzorem dla pisarzy krajów demokracji ludowej. Odpowiadając na pytanie, postawione u nas przez ostatnie Plenum Związku Literatów: jak powinien pracować pisarz, jak powinien wiązać się z życiem?

BOHATER wyrasta z ludu, lecz z zainteresowania czytelników nie kończą się przecież z ostatnią kartą powieści, ukazującej rzeczywistych ludzi. Czytelnicy chcą wiedzieć, co dzieje się dalej z bohaterem.

Po części zaspakają na pytanie 28 numer tygodnika „Ogoniok”, pisząc o bohaterach powieści Borysa

Polewoja pt. „Opowieść o prawdziwym człowieku”.

Sam Mieriesjew (w życiu: Maresjew), wiejskie dzieci, które odnalazły bohatera lotnika, działacza Michajło, gospodarz-kolchoźnik, u którego ranny odnalazł przytułek, babka Wasylisa, dziewczyna Waria, chirurg, komisarz — wszyscy to żywi ludzie.

Cóż ci bohaterowie robią teraz? Jak żyje i czym się zajmuje sam Maresjew?

Po wyjściu ze szpitala Maresjew brał udział w dziesiątkach powojennych walk. W pierwszej bitwie w czerwcu 1943 stracił dwa faszystowskie samoloty typu „Ju-87”. Dalsze walki przynosiły nowe sukcesy. Brak amputowanych nóg w niczym nie osłabił bojowego ducha lotnika. Państwo obdarzyło go tytułem Bohatera Związku Radzieckiego.

Lotnictwu poświęcił się Maresjew i po wojnie. Pracował w inspektoracie powietrznych sił zbrojnych jako wykładowca i instruktor. W r. 1949 Maresjew podał się do dymisji w randze majora i zapisał się jako słuchacz do wyższej szkoły partyjnej przy CK WKP(b). W obecnej chwili — informuje „Ogoniok” — nasz bohater zdaje egzamin.

Maresjew intensywnie zajmuje się sportem. Zimą — łyżwy, narty (mimo amputowania nóg — na protezach). Latem — tenis, pływanie, jazda autem. Mieszka on w Moskwie przy ul. Gorkiego. Jest żonaty, ma 6-letniego chłopca. Wolne dni spędza z rodziną na pomorskim letnisku.

Maresjew otrzymał dotąd od czytelników ponad 20 tysięcy listów. Adres ich brzmi lakonicznie: Moskwa, prawdziwemu radzieckiemu człowiekowi, Maresjewowi. W liście wielbił bohatera lotnika opowiadającego o swoich kłopotach i sukcesach w pracy. Piszą też czytelnicy z zagranicy. Z Chin, z Korei, z Francji, NRD i Włoch przychodzą listy potwierdzające wale prostej ludzkiej utrzymywania pokój. Gdy Maresjew, bohater Związku Radzieckiego był w Paryżu, napotkał na pochodzie inwalidów ostatniej wojny. Ludzie bez nóg, o protezach lub na szczudłach wołali: „Pamiętamy bohaterów Stalingradu, którzy uratowali przyszość Paryża. Nasze pokolenie nigdy nie będzie walczyło ze Związkiem”!

Maresjew żyje wśród nas. Należy do tych postaci, które wyżyły z życia literatura. Ale wielkość przedstawionej postaci przesłania dzieło literackie. Bohater, który wyrósł z ludu — napowrót wstąpił w lud jeszcze mocniejszy i piękniejszy.

BIBLIOTEKA w kolchozie — pod takim tytułem „Literaturnaja Gazeta” nr 77 ogłasza interesujące uwagi ośnośnie czytelnictwa w kolchozach.

Wytężone dla założenia biblioteki na wsi dał jeszcze Lenin w r. 1921, uważając wskaźnik czytelnictwa za świadczenie kultury mas. Założenie sieci bibliotecznej na wsi w koncepcji Lenina miało stanowić przewodnik politycznego wychowania, podobnie jak kino.

Wiele lat upłynęło od tego czasu. Wiele historycznych przeobrażeń zaszło na dawnej pariańskiej i zaoferowanej rosyjskiej wsi. Wzrosły kolchozy i agromiasta o produkcyjnej technice i oświacie. Powstały biblioteki wyposażone w naukowe i beletrystyczne dzieła. Kolchoźnik zaczął czytać, wyrównywał starą przepaść między wsią a miastem. Sprawił się w pełni stalin: „Chcemy ze wszystkich robotników i chłopów zrobić ludzi kulturalnych i wykształconych. Z czasem dopniemy tego”.

Biblioteki kolchoźnicze odgrywały ogromną rolę w zakresie podnoszenia poziomu kulturalnego i oświatowego czytelników. Intensywny rozwój tej sieci bibliotecznej przyniósł na ostatnie lata. Biblioteki kolchoźnicze uzupełniają państwowe biblioteki wiejskie i rejonowe, ale powstają wyłącznie z woli czytelniczego kolektywu.

„Z każdym rokiem — pisze „Literaturnaja Gazeta” — rośnie ilość kolchoźniczych bibliotek, powstają z inicjatywy pracujących chłopstwa. Np. w rejonie Omska wszystkie bez wyjątku kolchozy mają własne biblioteki z inwentarzem, liczącym prawie pół miliona książek. W 70 bibliotekach wszyscy dorosli i cała młodzież kolchozowa czyta. Prawie trzysta bibliotek kolchoźniczych leży w rejonie Woroneżki. Duża ilość powstaje też w rejonach Rostów i Wołoga”.

Kolchoźnicza biblioteka pomyślana została inaczej niż biblioteka państwowa. Zakłada się ją z funduszu własnych, jest więc ona wyrazem zainteresowań czytelników. Praca w takiej bibliotece jest bezpłatna, wykonywana kolejno i ochotniczo przez miłośników książki. Bibliotekom pomaga aktywna miejscowa inteligencja: nauczyciele, lekarze, agronomowie, zootechnicy.

A więc w koncepcji radzieckiej — biblioteka kolchoźnicza stanowi środek rozbudzenia czytelniczego kulturalnego danego środowiska. Bibliotekarz pracuje w oparciu o kolektywny. Zacieśnienie tej więzi służy liczne dyskusje i pogadanki na temat przeczytanych dzieł. Troška o książkę staje się więc sprawą ogółu.

Grzegorz Timofiejew

ANTOŃCZYK I INNI

(Dokończenie ze str. 2)

— Rozejście się natychmiast! — wołał komisarz Miller, nie występując jednak naprzód, krył się wśród otaczających go policjantów.

Dopiero teraz można było zauważyć, że małym osobowym autem przybył również starosta i przez szyby przypatrzył się manifestacji. Na stopniach auta stał błąd, rozczochrany Walek Wójcicki i machał nabitym rewolwerem na wszystkie strony.

— Chowa się ten pies! — krzyknął ktoś na samym proździe pochodu.

— Rozejście się, użyjmy broni!

— My chcemy mówić ze starostą. Żądamy wypuszczenia uwięzionych, żądamy zaprzestania rewizji. Jesteśmy obywatelami Polski, albo nie jesteśmy?

ZBIGNIEW NOWICKI

KULAK MUSI BYĆ GRUBY

NIEDAWNO zetknąłem się w terenie z jednym ze starszych robotników.

Zebrane gromadzie w Makolichach, do których obydwa przyjeżdżaliśmy odbywały się w jednej z klas miejscowej szkoły podstawowej. Na ogół wszyscy chłopcy zabierający głos na zebraniu zgadzali się ze dekretem w sprawie skupu mleka nie nakładającego na nich ciężarów, że potrafili wywiązać się ze swych obowiązków, ba, niektórzy mówili nawet, że wykonują obowiązek ze znaczną nadwyżką, bo wiem do chwili ukazania się dekrety odstawali do mleczarni znacznie więcej mleka niż teraz na nich przypada. Ale w wypowiedziach uderzało jedno: gotowości wykonania obowiązku warunkowali ukończeniem machinacji miejscowego kulaka Białka, którego wszyscy w wiosce mieli już powyżej uszu.

Kulak Bialek — jak mówili chłopcy — wykroczył się z planowego skupu zboża, ponieważ spaliła mu się sterta żyta. Nie dowiedziono Białkowi, że to on ją podpalił, nie dowiedziono mu także, czy w stercie istotnie spaliło mu się żyto, a nie żytnia słoma. I Białkowi udało się oszukać państwo. Podobnie było z obowiązkową odstawą żywa. Bialek przyniósł do Prezydium GRN świadectwo weterynarza, że prosiłki zdechły mu na czerwone i uzyskał odroczenie na odstawę tuczniaków. A w tym samym cza-

— Nie jesteście, wyśta chamy — wołał rozszewroniony do ostateczności Wójcicki.

— Wybierzcie delegację dziesięciu ludzi, tylko z delegacją będzie pan starosta rozmawiał — oświadczył komisarz i ogłaszał się, mrugał okiem na starostę.

— Hej, chłopcy, dosyć tego trajlowania, wyciągnijmy tego szczenura starostę, rzucimy go na kłęczki przed sobą!... — Kostek wyskoczył z pochodu, chwiał się palą, krzychał, namawiał ludzi, by biegli za nim.

— Stać na miłość boską, bo strzelam! — wrzeszczał komisarz i skoczył naraz, nachylił się ku drzewczkom osobowego auta.

Antończyk, choć drżały mu nogi, biegł wraz z innymi, schylał się, rzucił kamieniami i krzychał, zio-rzeczył starostę. Salwa karabino-

wa, którą usłyszał, oszołomiła go na sekundę, wtedy zatrzymał się, popatrzył za siebie. Ludzie uciekali, padali w rowy, na ścierniska i role. Ktoś jęczał, ktoś płakał rozdzierającą jak dziecko. Odwrócił głowę i ujrzał, że stoi w odległości dziesięciu kroków od auta, prawie u jego stóp leżał Kostek, oczy miał już martwe, rozchlestał liniana koszula na piersi naciekała krwią czerwona, straszliwie świeża, dlonie ścisnęły coś, lecz już nie zdołały się zamknąć, tak zostały.

— Lotry, jak mogliście, 19 lat było chłopakowi!... — krzyknął, unosząc pięść i zatrząsł się od bólu i rozrywającego gniewu. Nie zdołał jednak ująć nawet trzech kroków, trafiony kulą Wójcickiego, schylił się, zgiął jak złamany pod rośliny, upadł najpierw na kolana, potem

Bialek skamlał jak szczenię i wrzeszcząc rozplakał się głośno. Był to prawdopodobnie jego stary, wypróbowany wybieg.

Traciłem lokiem sekretarza KG i wskazałem mu palcem grubego chłopca z pierwszej ławki.

— Ten? — zdziwił się sekretarz. — To średniak, Feliksia. Bialek oszukał go ostatnio przy kontraktacji owoców... —

W miesiąc później przeczytałem w tygodniku Literackim opowiadanie o kulaku, który podpalił stertę ze słomą, aby wykroczyć się z planowego skupu zboża, a następnie przekupił weterynarza, by wydał mu świadectwo o padnięciu prociaków na czerwone. Kulak ten był gruby, miał czerwona, nalana tłuszczem twarz, jego wielki brzuch ledwie mieścił się w ciasnej ławce szkolnej. Słuchając oskarżeń chłopów z oczu biła mu ogromna pewnością siebie, z gniewem marszczył twarz i zaciskał pięści w hamowanej złości.

Sprawdziłem podpis pod opowiadaniem. Tak, był to właśnie znajomy mi literat.

Zadzwoniłem do niego, zdziwiony zmianą zauważonymi w treści opowiadania.

— Ach, wiy, dziennikarze — w słuchawce zachrobotał jego śmiech. — Jesteście niepoprawnymi autentykami. Musiałem przecież przetrzebić tego kulaka. On powinien być t y p o w y. Zbigniew Nowicki

Na uroczystości żałobną przybył pan poseł ludowy adwokat Magdziarz i czarno ubrany, z wyrazem bólesci na twarzy, pierwszy przemawiał nad grobem zabitych. Tym razem odniósł pełny sukces, przemawiał wstrząsająco, stwierdził to nawet ksiądz proboszcz z Przecznic. Powołując się na swoją przyjaźń od lat z Antończykiem, opisał w pięknych zdaniach ciężki żywot zmarłego, tułaczka za młodu po Prusach i Węgrzech, tułaczka trzydziestych i to umiłowanie ojczyzny, które kazało mu porzucić wszystko, wrócić do ukochanego kraju. Nie zapomniał ukochanego Ostrówka! Nie zapomniał krasomówca również o Kostku, wzywając cień Żeromskiego na świadka, wołał, że obok chłopca zginął bezbłotny bandos, parobek, którymu za ubranie służyło słofce, a za postanie słoma i polne ziele...

Kobiety płakały, nawet mężczyźni byli poruszeni, toteż Magdziarz smakując wielki swój sukces, wrócił w zupełnie radosnym nastroju do miasta i jeszcze tego wieczora przyjmował wódką tułającego się jeszcze po okolicy dziennikarza Potoczka.

— Pogrzeb był ekstra, nadzwyczajny — oświadczał już po raz wtóry Potoczek. — No i ta mowa pana... Ach, jak chciałoby się, by pan ja jeszcze uskrzydlił i zakończył tak cudną strofą Słowackiego.

Magdziarz poczuł smakowitą kąsek dla swego oratorstwa i szczerze zainteresował się cytowaną poezją.

— Pogrzeb kapłana Mayznera, pan mówi? — pytał.

— Właśnie. Nie czujecie, państwo, jak tu urzekają patos!

— Podyktuj pan, zapiszcie sobie — powiedział Magdziarz i wyjął już notes podreżany z kieszeni.

Wtedy to właśnie Potoczek podyktował adwokatowi ostatnią strofę Pogrzebu Kapłana Mayznera: „Ale Ty, Boże! który

z wysokością obrońce,

Blagam cię przez tę garstkę kości,

Zapał przynajmniej przez śmierć naszą — słonecz!

Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,

Niechaj nas przecie widzą — gdy konamy!”

Stanisław Pięta

Gazetka Gminna

JAN BOLESŁAW OZÓG

A FAKTURY ZJADŁY SZCZURY

Aktyw wiejski w Niedojdówce zebrał się na soltysówce:

— Abośmy to jacy tacy? Kumotrowie i kulacy!

Gnolią dziady nas bez kresu, Przysiągamy do GS-u!

Przysięgli, „udział” dali I kierownika wybrali.

Głosy padły na Nowaka, Na kumotra i kulaka.

Szczepan-kumpel. Szczepan Nowak wspomógł nas tak czy owak.

I wspomagał — oczywiście! Jak przystało kanceliście,

Swata wziął za sklepikarza, a sklepikarz — to się zdarza —

Nie gardzi flaszka „czyściuchy”, Nie skrzywdzi, kumie i muchy;

— Mościewy, nie da rady, Wszystko by zabrały dziady!

— Tak! Daj, Franuś, mi tę brone, Przecież-em swój, co? Zrobione!

I co „zrobił”, to z bogaczem, a biedniak odchodzi z płaczem.

Dostał sklep dwie tony maki, Biegna w łód przysłowi Baki.

Lecz już tonę wziął kierownik, A drugą kulak Borownik.

Odgrzązali się biedniacy — Abośmy to jacy tacy?!

No, no, kiedy przyjdzie kretom, dostaną na mur, na beton!..

Przyszedł, owszem, lecz cóż z tego? Wsiadł gdzieś, i dobrze go strzeżę.

A żona kulaka Pieli w świeżej sukni — przy niedzieli.

Tak to ustawicznie wsiadka: Nafta, cukier, gwoździe, mąka.

Dla kumotra i sąsiada I kasza i marmelada,

A dla biedniaka do zgonu, Nie ma klaczka makaronu.

Zebry soli ze sześć garstek I choć igła lub naparstek!..

Nie, nie! Nie ma! Darmo czeka, Darmo przylazi dziad z daleka.

Aż raz — doszliśmy do kresu — Wpadł lustrator do GS-u.

— Pan kierownik? Dziendoberek. Jak interes? — Jak szaberek!

— O to świetnie. A gdzie księga? Zdrachnął się, miła nietęga,

Co tu gadać, zbladł kierownik: Draka! Co chce ten płodownik!

A „płodownik” księgi czyta, Czyta, czyta, w końcu pyta:

— Proszę pana, gdzie faktury? — A to, to... wyjadły szczury!

— Przyjm pan dobrze moje słowo: Stwierdzam stratę bilansową.

Mam tu głowę całą chorą Sto tysięcy niedoboru!

— Sto tysięcy? Ta to szczury! Patrz pan, pod podłogą dziury.

— Słusznie, słusznie, panie Nowak, To jest prawda, tak czy owak.

Wkradły się za ludzką łaską. Lecz te szczury już w potrzasku!

Wzięli ich o gębach trupich Az do zamku... Montelupich.

Będą sobie „siedzieć”... w mieście W sumie lat chyba ze dwieście.

Zaraza w Niwie

Niech się dowie nasza Gazetka Gminna, że my chłopcy z gromady Niwa pod Olkuszem wystąpiliśmy ostatnio jako milośnicy lasów państwowych i obrońcy miejscowej szkoły.

A zaczęło się od tego, że nasz leśniczy ob. Leon Glowacz, człowiek podobno uczony, przerzucił się na handel. Temu sprzedał furkę drzewa na opał, tamtemu „przydzielił” okraglaków na budowę ganku, owemu chrustu i podściółki. Profit z tego miał niezgorzany, a i sławę „prawdziwego dobroczyńcy” pośród co bogatszych chłopów.

Wychodziło jednak na to, że przedziej wysłaliśmy nasze niewielkie lasy w okolicy niż sam pan leśniczy. Ale nikt z gromady sprawy tej nie podnosił, zapewne i dlatego, że „opatrnościow” Glowacz wciągnął w tę spółkę do handlu drzewem z najbliższą okolicą nawet samego soltysa ob. Pańczyka.

Ale — jak wiadomo — bardzo często u szczytu sławy zaczyna się jej upadek. Trafila kosa na kamień, pan Glowacz na naszą nauczycielkę — ob. Zofię Zabitowską. Ta nie tylko, że do spółki nie weszła, ale zorganizowała kobiety do walki o całość państwowego lasu. Nasze żony hodowały drób w ramach Koła Gospodyń Wiejskich, ale z ramienia Ligii Kobiet gromiły złodziei drzewa.

Ruszyli na to głowami dwa szefowie — leśniczy i soltys. Zorganizowała Zabitowska dożywianie dzieci w szkole, to oni buch zaraz pismo

do GRN, że kucharka ma ang.ę. Zaczęły wrzeszcze nasze kobiety kapak w dziecięcę dzielaki — a oni dalej z pismem do PRN, że kierowniczka zaraz po wykapaniu brudasów, gotuje w wanience kompot.

Nam chłopom bardzo się nawet ta wojna podobała. Przyszedł człowiek z pola, było wieczorem o czym pogadać. I tak przylądaliśmy się aż do żniw. Nauczycielka wyjechała na wakacyjny kurs, ludzie wyszli na pole. A spółka? Ta dopiero zabrała się do roboty. Ani się człowiek obejrzał, jak zjechała do wsi komisja sanitarna badać zarazki w wodzie ze stawu, którą podobno karmiła nasza nauczycielka dzieci. Glowacz skacze koło przybyłych, częstuje, zaprasza, a my widzimy, że dzieci nasze zdrowe jak rydzy, przy żniwach pomagają, aż się serce starym raduje.

Ale komisja dzieci nie oglądała, i nie bardzo dawała wiarę temu, że prawdziwa zaraza we wsi to właśnie Glowacz. Wychodzi na to, że mogą nam nauczycielkę przenieść gdzieś w powiat. A my nie chcemy oddać takiego człowieka proponujemy więc wysłanie Glowacza za siódmą rzekę.

Droga Redakcjo „Wsi” zdecydowaliśmy się po raz pierwszy napisać list w imieniu większej części gromady, bo jak słychać, prasa na takie kłopoty bardzo pomaga. A jak się coś w naszym liście nie składa, to darujcie. Za wszystkich podpisał:

Jerzy Hlond

Najmłodszy hodowca

Oto wzruszający list napisany przez uczennicę IV klasy szkoły podstawowej. Wzruszający przez to, że pokazuje, jak na dalekiej od nas wsi, w świadomości wiejskiej dziewczyny, jeszcze prawie dziecka, dokonuje się przełom. Przełom polegający na podjęciu konkretnego i ważnego zadania społecznego — po raz pierwszy w życiu! Mam tu do czynienia z najmłodszym chyba w kraju hodowcą! Ale nie chodzi nam jednak o to tylko, że „Misio” dojdzie 100 czy 150 kg wagi.

Przykład Natalii Jarosz wskazuje na ukryte rezerwy aktywności gospodarcej wśród młodzieży w wieku przed-zetepowskim. I tego kapitału nie powinni marnować nauczyciele z tysięcy szkół rozrzuconych po gromadach.

Droga Redakcjo!

Postanowiłam zakontraktować na rok 1952 jednego tucznika.

Chodzę do szkoły i czeka mnie końcowy egzamin, ale ja też chcę się przyczynić do wykonania Planu 6-letniego. Uczę się nieźle i za to rodzice podarowali mi proszaczka. Jest on jeszcze zbyt mały ale mi wyrośnie, więc zakontraktuję go. Wierzę, że takich, jak ja, jest coraz więcej, którzy pragną przyczynić się do uścisniejszego wykonania Planu 6-letniego. Gdy już zakontraktuję go wtedy napiszę jeszcze jeden list. Chcę aby wszyscy moi koledzy i koleżanki też zakontraktowali prosz-

Jarosz Natalia
Podwisk, pow. Chełmno,
woj. bydgoskie

Zawiadamy wszystkich prenumeratorków naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze wejszy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny I okresy

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.

Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5.

3-B-24215

Niedowiarek

ZARZA się jeszcze wśród chłopów często taki, który zanim w coś uwierzy, to wprawi 10 razy obejrzeć, a i tak w końcu nie bardzo dowierza. Musi rozmyślać taki chłop — roztrop — być w tym jakiś oszukaństwo, skoro wszystko właśnie akurat tak jak potrzeba się składa.

Do tego gatunku należy Stanisław Jelonek z grom. Wólka Lasiecka, gm. Bolimów, pow. Łowicz, Jelonek — a jakże na wycieczkę do Gdańska z chłopami się wybrał. Ale nie po to, aby się tamtejszym spółdzielniom przyręcić i czegoś nowego od spółdzielców się nauczyć, ale po to, aby, jak to mówią — znaleźć dziurę w całym.

Kiedy członkowie spółdzielni produkcyjnej „Przyszłość” w Gnojewie, powiat Malbork, pokazywali wycieczce chłopów z województwa łódzkiego swój zasobny, pomimo wiosny, spichlerz — Jelonek najgorliwiej z wszystkich oglądał steryt z zboża. Kiedy przedstawili im bilans roczny i dniówkę obrachunkową, wynoszącą 30 złotych 86 groszy, kiedy przedstawili im wysokość plonów 26 kwintali pszenicy i 41 kwintali jęczmienia ozimego z jednego hektara — Jelonek z krzywym uśmiechem sprawdził księgi buchalteryjne i obliczył razem z księgowym, dopatrując się i w tym jakiegoś szachrajstwa. Kiedy spółdzielcy opowiadali ich po swoich oborach i chlewni — Jelonek najdłuższe ze wszystkich obmacywał krowom wymiona i świnię po śladkach szczyptał, aby sprawdzić czy naprawdę sadio, a nie wate na sobie mają, jak mu to ktoś przed wyjazdem mówił. Wszystkiego dokładnie, wszystko sprawdził, omal że nie polizał — i pomimo tego ciągle swoim długim nosem kłęcił.

Uważając no, Jelonek, bo nos wam się całkiem obrusza i do świńskiego koryta wpadnie. A tam go prosił raz dwa zechłaj — pokpiwali chłopcy. — Czego to nim tak kłęciacie?

— A bo tu widzę na jawie rzeczy nie z tego świata... — kłęcił głową Jelonek. — Maciorzy, nie przysięgajcie prawie jak krowy, a gadają, że pszenica im sypie 26, a jęczmień 41 z hektara. A czemu to u mnie tak nie sypie, chociaż że mnie gospodarz tegi?

— Bo raz, że ziemiście macie pewnie trochę gorszą, a co ważniejsze, po staremu wciąż indywidualnie gospodarzycie i spółdzielczy gospodarki nie uznajecie. O! co — wnieśliście się do rozmowy Władysław Jagła, spółdzielca z Gnojewa. Jelonek wysłuchał z chytrą miną, potem odciągnął go na bok i szepem:

— Ale do mieszkania, to byście mnie nie zaprowadzili, co?

— Dlaczegożby nie? — zdumiał się spółdzielnia. — Chodźcie, to was jeszcze kobieta czymś poczęstuje, którą podobno karmiła nasza nauczycielka dzieci. Glowacz skacze koło przybyłych, częstuje, zaprasza, a my widzimy, że dzieci nasze zdrowe jak rydzy, przy żniwach pomagają, aż się serce starym raduje.

Tam na dworze przy wszystkich — powiada do spółdzielcy — mówiliście, co wam kazali. A tu mi teraz pod sekretem powiedzcie, jak to jest naprawdę w waszej spółdzielni. Nie bójcie się, już ja was nikomu nie wydam.

Ano, sami przecież widzieliście jak jest — odparł tamten urażony nieco ta Jelonek — „chytrości” — Ale jeśli chcecie więcej, to słuchajcie. Jakem szedł do spółdzielni, tam miał jedną krowinę i portki jak sito. A teraz, po trzech latach spółdzielczy gospodarki mam na swojej działce dwie krowy, trzy świnię, pięć owiec, sto kur. Za samo mleko od swych krow w mleczarni miesiąc w miesiąc do ośmiuset złotych zgarniam. W ciągu dwóch lat kupiłem sobie radio i cztery garnitury a w zeszłym tygodniu brzytew i oficerki. Tak to jest w naszej spółdzielni.

Ale Jelonek, jak to on — nie uwierzył półki palcem nie dotknę.

— Wszystko to — powiada — pięknie. Ale jeśli to wasze, a nie wykrecone, to powinniście mieć chyba rachunki ze sklepu?

Jagła tylko głową nad nim pokłuszał, ale z szuflady wyciągnął po składane w czworo papierki. Jelonek rozwijał je po kolei. Rzeczywiście. Zgadza się co do joty. Jest rachunek i za radio i za garnitury i za brzytew. Oddał więc papierki z powrotem, spojrzawszy na piękne oficerki i wyszedł z niewyraźną miną, skrobąc się za uchem.

Jego wiara we własną gospodarkę zaczynała się chwiać. Ale mimo wszystko — nie dowierzał. Bo może to rząd dał Jagłę te buty i garnitury by chłopów omamić?

Tadeusz Słupicki

EDWARD SZUSTER

Rozmowa

SPOTKALIŚMY się w Radzie Oddziałowej Zajeźdźni i Warsztatów Tramwajowych w Łodzi, by pogrzebać w przeszłości i przypomniać strajk łódzkich tramwajarzy z roku 1932. Towarzysze Łuczak i Żyłka byli nie tylko uczestnikami tego strajku, byli jego kierownikami, gdyż obaj uchodzili w skład ścisłego komitetu KPP, który prowadził akcję poprzez komisję strajkową. Towarzysze Łuczak jest dziś przewodniczącym Rady Oddziałowej i on to właśnie zaproponował mi — ciekawemu informacji i szczegółów pisarzowi — oraz Żyłce, który już nie jest tramwajarzem, bo przesunął go do innej roboty, byśmy się w Radzie spotkali. I kto wie, czy to właśnie nie dlatego, że rozmowa nasza toczyła się w lokalu związkowym, zaczęliśmy od omawiania spraw związkowych sprzed laty.

Mówiliśmy o związkach nie dlatego, że siedzieliśmy w gabinecie Łuczaka a dlatego go prosto, że sytuacja związkowa w czasie strajku była szczególnie zawiła i zmienną dla przebiegu akcji. Było wtedy tych związków aż trzy, ale każdy z nich cierpiał na tą samą chorobę — na brak członków. Nie wierzyli tramwajarze ani pracownikom pepesowcom, prowadzącym związek klasowy, ani chadekom ze związku „Praca”, ani też świeżo narodzonemu związkowi sanacyjnemu. Starczyło w tych związkach ludzi do zarządów, ale na członków nie starczało. Więc też kiedy wybuchł strajk i trzeba było wybrać kierownictwo akcji, tramwajarze wybrali taką komisję strajkową, do której zarządy Związków nie weszły. Weszli za to ludzie cieszący się zaufaniem swych towarzyszy, weszli KPP-owcy tacy właśnie jak Łuczak i Żyłka.

Oni, towarzyszu, widzieli dobrze jaki jest duch w masach — mówił Żyłka używając zamka „oni” dla oznaczenia związkowych bonzów. — Oczywiście nie byli tacy głupi, żeby po prostu nawoływać do likwidacji strajku. Gardłowali nawet, że ludzie dyrekcyja kryjude chce zrobić, że się bronić trzeba. Solidaryzujemy się ze strajkującymi — mówili — tylko nie mamy zaufania do Komisji i stojamy z boku. I przez to stanie z boku sprawiali, że nikt z nami nie chciał rozmawiać, bo w Komisji nie był reprezentowany oficjalny czynnik związkowy. Nam ten czynnik nie był do niczego potrzebny, myśmy żadnych pertraktacji nie chcieli, ale ludzie po tygodniowym strajku zaczęli się oglądać i nie-

pokoić, dlaczego ani dyrekcyja, ani inspektor pracy, ani nikt się sprawy strajku nie zajmuje. I wtedy ci ze związków dalej na wysiłki mącić w głowach, że tylko związki mogą sprawę do końca doprowadzić, że trzeba by Związki kierowały, że trzeba się zapisywać do Związków, bo one będą bronić swoich członków.

— Popłoch robili i cały strajk był im potrzebny po to, żeby członków natapać i autorytet zyskać — podsumował sprawę Łuczak. — Wtedy to członek był dla Związku, a nie...

Urwał i zwrócił głowę w stronę drzwi, przez które weszła do gabinetu starsza kobieta i przystanęła u p. o. gu. Zafasowana była i zmieszana tak że domyśleć się było łatwo, iż pierwszy raz znalazła się tu i że to jakiś kłopot ją sprowadził.

— Do Rady? — zapytał Łuczak mrużąc oczy.

Tak właśnie było. Przybyła była żona jednego z robotników, który przed kilkoma dniami poszedł do szpitala na operację, niegroźną zresztą i częstą, jak się potem dowiedziałem. Usłyszawszy tę wstępne wyjaśnienia Łuczak nie czekając aż dowie się o co kobiecie chodzi poruszył się na krześle.

— A jak się maż czuje? — zapytał z widocznym zainteresowaniem.

Nawet nienajgorzej. Niczego sobie. Leży i już mu się przykrzyż zaczyna w tym szpitalu — wyjaśniła z zadowoleniem rada, że może z kimś porozmawiać o najważniejszej dla niej sprawie.

Dobrze. Jak tak, to dobrze — stwierdził Łuczak i spojrzawszy uważnie na interesantkę dodał: — Niech mu się pani kłania ode mnie i niech mu pani powie, żeby się porządnie leczył. Nie ma co za wcześnie do roboty przychodzić, bo ja i tak spytam się doktora, czy on tam nie uciekł za przedko.

— Też mu właśnie to samo mówię — podchwyciła z ożywieniem kobieta. — Zdrowie przecież najważniejszej, prawda?

Żyłka potrząsnął lekko głową i dmuchnął energicznie przez nos.

Też mu się na rozmówce zebrało — szepnął pochylając się do mego ucha i popatrzył na Łuczaka surowo. Przewodniczący uśmiechnął się nieznacznie i z nieznaczonym spokojem objaśniał kobiecie, gdzie i jak należy zabiegać o potrzebne jej zaświadczenia oraz komu płać się składki związkowe. Na pożegnanie przypominał raz jeszcze zadowolony i interesant, by pozdrowiła męża od wszystkich towarzyszy i dopiero gdy zostali-

my sami zwrócił się do Żyłki. — A wy, towarzyszu, nie kręćcie nosem, bo po to tu siedzicie żeby ludzi zatawiać.

— No dobrze, dobrze — zgodził się Żyłka. — Czasu szkoda na gadanie.

Łuczak uśmiechnął się po swojemu i wrócił do strajku. Opowiadał teraz Żyłka o tym jak uważnie i umiejętnie trzeba było pracować w Komisji Strajkowej, by przeprowadzić postanowienia komórki partyjnej. Kłopot polegał na tym, by zachować w konspiracji członków tej komórki, by nie zde-maskować ich wobec stałe i wszędzie obecnych szpicli z defensywy, prowokatorów i rozbijaczy.

Musieliśmy ludziom tłumaczyć jak sprawa wygląda, do czego kto dąży i to było najważniejsze. Jak zrozumieli i zobaczyli po której stronie racja, gdzie interes robotników, to już trudności nie było. Chyba, że się trafiło na strachliwego człowieka, ale jak nie, to roboty szła. Byli na przykład tacy jak Filip i Pawlicki — legionści a dobrze pracowali w Komisji, dobrą robotę robili, nie wiedząc nawet, że nimi komunistki kierują.

A tamci ze związku sanacyjnego czy z „Pracy” takich gorliwych udawali, że ludziom nieraz w głosie zamieci — dodał Łuczak.

Pod koniec strajku, jak dyrekcyja zapowiedziała, że wypuści wozy na miasto do kontrolerami i tamstrajkami, to Falkowski garqłował, żeby bojówkę robić i rozbijać te tramwaje, które wyjadą. A to wladzom było potrzebne, żeby sprowokować awantury, wypuścić policję na strajkujących i siłą nas złamać. Wythumaczenie teraz rozgniewanym strajkiem ludzom, że Falkowski prowokuje. Krew ich przecież zalewała na wszystkie władze i dyrekcyję w szczególności.

Znowu otworzyły się drzwi i do pokoju zajął wysoki, tegi tramwajarz. W pierwszych chwilach miał zamiar się wycofać widać przewodniczącego rady zajętego rozmową, ale dostrzegłszy Żyłkę, uśmiechnął się szeroko.

A wy tu skąd? — pytał idąc z wyciągniętą ręką do Żyłki. — Na stare śmiecie zaczęło się zająć.

Przywitani się z wyraźnym obustronnym zadowoleniem. Przybyły odpuszczył się lekko oglądając przez chwilę Żyłkę, potem zwrócił się do mnie.

— Przepraszam bardzo, ale musiałem się przywitać ze starym towarzyszem. Radził to gość u nas — wyjaśnił.

Żyłka przesunął ręką po szpakuwatej, choć sfalowanej jeszcze czuprynie.

A my tu właśnie o starych rzeczach rozmawiamy — rzekł z czerwone jego policzki drgnęły uśmiechem. — O strajku, tym z zimy 32-go. Powiedziecie no, waszym zdaniem, może go było wygrać?

Zapytany zamyślił się chwilę.

— Można — zdecydował wreszcie. — Trzeba było nie ustępować. Łuczak pokiwiał głową i chrząknął znacząco.

— Myśmy wam wtedy tak samo mówili, prawda?

— No tak, prawda. — Tęgi tramwajarz był lekko zakłopotany. — Ja, rozumiecie, niedawno wtedy pracowałem w tramwajach i jeszcze nie byłem wujemskim...

— Tacy co dawniej pracowali też dali się nabrać — przerwał te wyjaśnienia Żyłka. — Nie wy jeden. A kto, waszym zdaniem, najgorzej nam wtedy zaszkodził?

Czas jakiś zastanawialiśmy się w czworóg nad przyczyną załamania się strajkujących i w rezultacie trzech uczestnicy akcji doszli do wniosku, że największą sekodę poczynił Marcinak ze związku klasowego rozbijając jedność tramwajarzy. Zaraz potem przybyły poczył się zegnąć.

— Rad was zobaczyłem — rzekł ścisłając rękę Żyłki.

— W Partii jesteście? — spytał Żyłka.

— Jeszcze nie — wturcił się Łuczak. — Jeszcze nie. Tymczasem aktywista związkowy.

Gdy zostaliśmy znów w trójkę Łuczak zwrócił się do Żyłki z żartobliwą wymówką:

— Wam się znowu rozmówek zachciało.

— Widzieliście przecież, że to on zaczął — tłumaczył się Żyłka.

Wrócił do naszej rozmowy, ale rwała się ona jeszcze kilka razy. Przychodził interesant do Łuczaka, stary tramwajarz zachodził przywitać się z Żyłką, słowem stale przerywały nam jakieś rozmówki. Zirykował się tym trochę Żyłka bo, jak mi potem powiedział, przekonany był, że nie mam czasu i mnie przede wszystkim te rozmówki nudzą i drażnią. Bo przecież mieliśmy rozmawiać o strajku, a tu co chwila upadły nam jakieś sprawy dzisiejsze. Dla mnie zaś te właśnie rozmówki szczególnie mocno i wyraźnie pomagały zrozumieć tamte czasy odegłę o dwadzieścia lat. Bez tych rozmówek nie potrafiłbym tak dobrze zrozumieć, że te dwadzieścia lat dzielące nas od strajku przyniosły z sobą coś takiego, czego nie znajdujemy w żadnym innym du-dziestolecu. Wszystko się prawie przez ten czas zmieniło i to radykalnie zmieniło. Nie zmienili się tylko choć zastarzały nieco tacy ludzie jak Łuczak i Żyłka.

Oni zmienili czas i życie.

Edward Szuster

Tadeusz Papier